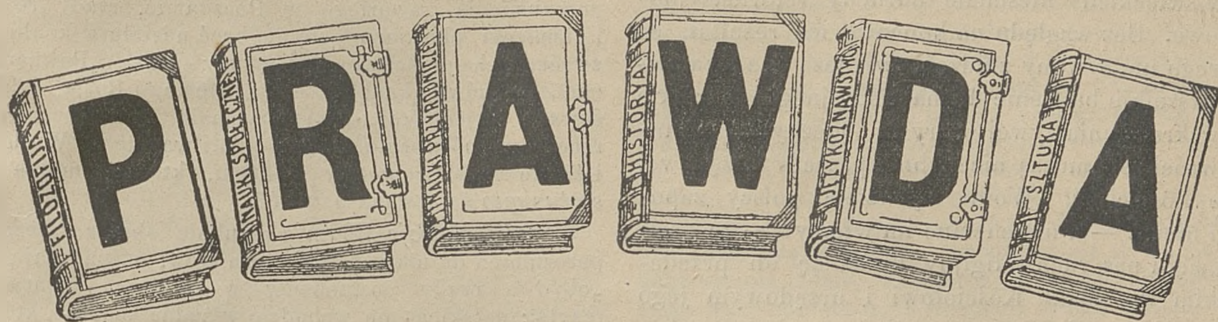
Nr 2 (1565). Warszawa, 14 stycznia 1911 r. **Rok XXXI**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

W okopach św. Trójcy.

W obozie klerykalnym nietylko, że nie ustaje zgiełk zatargów i nieporozumień, ale wzmaga się coraz i chwilami nawet przygłusza zwykłe na postęp i kulturę świecką napaści. Wślad za naganką, podjętą niedawno przez ultramontanów przeciw *Dziennikowi Powszechnemu*, który zresztą rychło dał za wygraną i zrejterował pośpiesznie, tworzy się nowa kampanja ku przygnębieniu *Prądu*, organu młodzieży katolickiej i *Roli*, redagowanej przez p. Szczepana Jeleńskiego. Ten ostatni wzbudził niezadowolenie w kołach teologicznych swym „Zarysem nowego programu", gdzie wygłasza pogląd, że „Dekalog nie ma już siły zdobywczej, nie jest wstanie nikogo zagrzać do czynu, do apostolstwa, do poświęceń" zaś „apostołowaniem przeżytych form religijnych, dawnych sposobów wierzenia, przebrzmiałych haseł, oklepanych określeń — nie zdobędziemy świata". Poucza nadto, że skoro „Bóg powierzył swe *Credo* genjuszowi ludzkości" tedy „istotą nowego programu jest przesunięcie punktu ciężkości z Dekalogu na *Credo*" jako warunek odrodzenia ruchu katolickiego... Co gorsza, pragnie p. Jeleński „budzić zaufanie do rozumowanych podstaw Wiary naszej i zaciekawienie ku zagadnieniom dogmatycznym".

Miarodajne koła klerykalne, niemile dotknięte tą enuncjacją o zgoła modernistycznym brzmieniu, potępiły zapał religijny p. Szczepana i wezwały go do cofnięcia „nowego programu". *Przegląd Katolicki* wręcz pozywa redaktora *Roli* przed sąd władzy djecezalnej, zaś p. Jan Popiel wyjaśnia mu zwięźle, że „Bóg *Creda* żadnego nie zna i nie potrzebuje, a genjusz ludzkości to rzecz nieistniejąca". Całe nieszczęście w tym — sądzi p. Popiel — że p. Jeleński „chce mówić językiem XX-go wieku" (dosłownie) o rzeczach, do których przylgnął duch średniowiecznej łaciny tak szczelnie, że po wieczne czasy oderwać się nie da. Nestor publicystów katolickickich apostrofę swą do redaktora *Roli* kończy zjadliwie: „Swój *Zarys nowego programu* niech raczy ofiarować p. Jeleński któremu bądź z naszych biskupów do przeczytania, a dam konia z rzędem, jeśli „program" otrzyma aprobatę". Sądzimy, że p. Popiel mógł zaryzykować więcej.

Z kolei *Prąd*, który już raz w roku zeszłym omal nie znalazł się na indeksie, dziś popada w jawną i niebezpieczną herezję, bowiem „kokietuje myśl wolną" i pragnie „szerzyć światło, krzepić ducha, budzić energję czynu, krzewić uświadomienie społeczne, dopomagać tym, co *Prawdy* szukają" — czyli bierze na się rolę zgoła niewłaściwą, co mu wytyka uszczypliwie *Dziennik Powszechny*, dodając: „Te tam flirty z „postępem" katolickiego *Prądu*, te tam jakieś budzenie ciekawości do podstaw rozumowych dogmatyki katolickiej *Roli* — winny ustać". No i zapewne ustaną; bowiem niemasz w katolicyzmie dzisiejszym czynników rozwojowych na tyle żywotnych, by mogły wyłamać się z pod rzymskiego rygoru i rozpocząć byt samodzielny, uzgodniony z „językiem XX-go wieku".

Najlepszym tego dowodem — dzieje *Sillonu* i upadek Marka Sangniera, który zgrupował dokoła siebie zastęp „ostatnich chrześcian we Francji", a dziś patrzeć musi na ich bezładną rozsypkę.,. Drugim niemniej wymownym dowodem są losy ks. Alfreda Loisy. Uczony ten kapłan, dotknięty w swych wierzeniach katolickich krytyką protestanta Harnacka, odpowiedział mu w kilku tomach dzieł pierwszorzędnej wartości, za co znalazł się na indeksie, a wkrótce

spadła na jego głowę *excomunicatio major*, czyli większa klątwa...

* * *

Bądź co bądź, mnożą się w naszych kołach „katolików świeckich" nieśmiałe odruchy reformacyjno-postępowe. Bez względu na końcowy ich rezultat, co do którego nie żywimy złudzeń, świadczą one wymownie, że wszelkie budzenie ducha religijnego, wszelkie próby wskrzeszenia żywej wiary w obecnych warunkach zwrócić się muszą niechybnie przeciw urzędowej rutynie kościelnej. Wolni myśliciele polscy zapowiadali nieraz — a nie chciano im wierzyć — że jeśli zbudzi się u nas ruch religijny, to da się on przedewszystkim we znaki Kościołowi i urzędowym jego przewodnikom. Dziś przepowiednia ta się sprawdza. Z okopów św. Trójcy, skąd wzywano gromko do mobilizacji uczuć i myśli religijnych, dziś czujne i podejrzliwe oczy wypatrują i tropią we własnym obozie każdy objaw rzeczonej mobilizacji, aby ją stłumić w zarodku. Wprawdzie kościół sam w r. 1906 uruchomił hufiec publicystów świeckich, ale to w określonym i wskazanym celu: skutecznej walki z postępem. Jakże się zawiódł! Postępu nie zgnębiono, myśl wolna staje się w Polsce popularną, natomiast podkomendna prasa katolicka poczyna zdradzać objawy niesubordynacji, zachceń reformatorskich i szczególnej ambicji, która przysparza kłopotów naszym władzom djecezyjnym. Co do nas, postępowców, których pomawiano tylekroć o zjadliwą niechęć wobec religji, — tamowanie rozwoju myśli i wiedzy religijnej bynajmniej nie leży w naszych zamiarach, ani w naszym programie, który zwalcza uprzywilejowane władztwo kleru w jaskrawych przejawach samowoli i szkodliwe dla kultury naszej przeżytki.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Sprawa wizyty Poczdamskiej, zrazu omawiana oględnie i dyskretnie w urzędowych organach prasy, urosła nagle do rozmiarów dyplomatycznego skandalu, który zaprząta dziś powszechną uwagę.

Nerwowy nastrój anglo-francuskich kół politycznych udzielił się ostatnio i Niemcom. Bezpośrednim do tego powodem była rosyjska półurzędowa wzmianka w gazecie *Nowoje Wremia* współcześnie z wynurzeniami p. Bethmanna-Hollwega w Sejmie Rzeszy.

Kanclerz niemiecki stwierdził ponownie, że na mocy porozumienia, zawartego w Poczdamie, rządy rosyjski i niemiecki obowiązują się nie brać udziału w koalicjach, zwróconych przeciwko jednemu z nich. „Pewnem jest nadto — mówił kanclerz — że Niemcy i Rosja zainteresowane są jednakowo w utrzymaniu istniejącego stanu rzeczy na półwyspie Bałkańskim i wogóle na Wschodzie i że nie będą popierały polityki, któraby mogła owo *status quo* na szwank narazić".

Otóż *Nowoje Wremia* redukuje obszar rzeczonych porozumień do nikłych dość rozmiarów, oświadczając, że: „obydwa rządy postanowiły w sprawach azjatyckich (czytaj: perskich) nie wchodzić w żadne koalicje, których ostrze zwracałoby się przeciwko jednemu z nich".

Manewr rosyjskiej półurzędówki wywołał żywe niezadowolenie w Berlinie. Rozumieją tam wybornie, że dyplomacja rosyjska, wobec angielskich i francuskich alarmów, chce zbagatelizować wagę poczdamskich układów, mimo to jednak prasa niemiecka napada dość bezwzględnie na rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, wytykając mu chwiejność i dwulicowość. *Berliner Tageblatt* oświadcza z tego powodu: „Rządowe koła niemieckie bardzo są zdziwione sposobem, w jaki *Nowoje Wremia* pragnie zredukować deklarację kanclerza. Nie wiadomo tylko, czy zostało to uczynione gwoli uspokojenia Francji i Anglji, czy też — pod wpływem naszych nieprzyjaciół z nad Tamizy i z nad Newy. W każdym bądź razie, p. Sazonow ma teraz głos i powinien tę sprawę wyjaśnić". Nie czekając zresztą na te wyjaśnienia, rząd niemiecki za pośrednictwem oddanych sobie organów prasy postarał się zbić restrykcje *Nowego Wremieni* i podkreślić z całą szorstkością rozmiar osiągniętego w Poczdamie porozumienia.

„Wszelkie restrykcje na temat wyników wizyty poczdamskiej—pisze *Deut. Tageszeit.*—czynione w ostatnich dniach i będące w sprzeczności z deklaracją kanclerza w Sejmie Rzeszy — są mylne. Twierdzenie gazety *Nowoje Wremia*, jakoby ugoda rosyjsko-niemiecka dotyczyła tylko Persji, albo przynajmniej Azji — mija się z prawdą". Komentując dalej wersję *Temps'a*, jakoby w Poczdamie pp. Bethmann-Holweg i Kiderlen-Waechter zaskoczyli znienacka p. Sazonowa inicjatywą ugody i wymogli na nim większe niż zamierzał zobowiązania, berliński organ agrarjuszów dodaje: „ta pogłoska płynie ze źródeł obcych i dotknęła bardzo niemile rosyjskie koła urzędowe". Ze swej strony dziennik zachowawczy *Post* powiada: „Wobec kampanji, mającej przeszkodzić zbliżeniu Niemiec i Rosji, chwila wydaje się nam odpo-

---

Leon Choromański.

SZKICE MIEJSKIE.

I.

Kinematograf.

Na większych ulicach jaskrawe światła czerwone, błękitne, zielone, białe wołają mieszkańca miasta do kinematografu, obiecują mu rozkosze niesłychane, historje fantastyczne i pouczające, Od południa do północy rzesze, spragnione widowiska, zasiadają w przyciemnionej sali. Rozlega się politowania godna muzyka i zaczyna cud kinematograficzny. Kinematograf ma swoją logikę, swoją wyobraźnię. Można oglądać tam życie wstecz: poważny profesor z długą brodą przetwarza się w mgnieniu oka w zachwycające dziecko i ugania się za motylami. Zegar stołowy rusza z miejsca, przechadza się po pokoju, podchodzi do lampy, trąca ją poufale, poczem oboje przemieniają się w parę zakochanych i wyfruwają oknem. Na szczycie wieży Eifla zaczyna lśnić i przewalać się morze. Zgrzybiała niewiasta rozpada się na dwie młode obwieszone kwiatami dziewczęta. Ręce przedłużają się, wyciągają na kilometr, stukają w okna czwartego piętra, gdzie przerażona kokietka zrywa się od toalety, rozsypując po drodze puder. Człowiek lata jak piórko nad kominami miasta. Z kapelusza, który położył na stole ospały mieszczuch, wyskakują tancerki i pokilku pirnetach zaczynają łechtać drzemiącego w nos wachlarzem. Kinematograf to rozrywka leniwa i pocieszająca dla tych, co nie mogą dotłoczyć się do ceremonji królewskich, spojrzeć w twarz ozdobionym sowicie orderami jenerałom. To wszystko bowiem ujrzeć można w kinematografie i wiele innych rzeczy.

wiednią, aby stwierdzić, że teraz właśnie toczą się między Berlinem i Petersburgiem rokowania nietylko w sprawach perskich, lecz nadto dotyczące wiele innnych arcyważnych kwestji".

O rokowaniu tego rodzaju donosił w d. 31 grudnia petersburski korespendent *Evening Times'a*, nadmieniając, że wynikiem ich będzie publikacja noty rosyjskiej, mogącej — dziś dopiero—udzielić wyjaśnień na zwrócone w r. 1907 zapytanie ze strony Niemiec co do natury zawartej w tym czasie umowy angielsko-rosyjskiej.

„W projektowanej nocie — donosi *Times* — rząd rosyjski wyłuszczy dwa główne punkty rokowań poczdamskich, a mianowicie:

1) Utrzymywanie dotychczasowych ugrupowań mocarstw;

2) Wzajemne zobowiązanie co do unikania wszelkich nowych kombinacji, które mogłyby zaszkodzić interesom rosyjskim w Persji i niemieckim interesom w Turcji".

Istnieją poszlaki, że Niemcom rozchodzi się głównie o pokrzyżowanie angielskich planów kolejowych w Persji za pomocą rozgałęzienia linji Bagdadzkiej w kierunku Teheranu, na co Rosja udziela swego przyzwolenia.

To wszystko nietylko nie uśmierza niezadowolenia Anglików, ale je nawet wzmaga, i dobrze poinformowany *Times* zwraca się do polityków rosyjskich z wezwaniem, by przez nazbyt wyłączną dla Niemiec życzliwość nie narażali na szwank interesów i stałości Trójporozumienia, Niemcom zaś zwraca uwagę na to, że mimo wewnętrznego kryzysu, Anglja potrafi odegrać czynną rolę w Europie.

* * *

Wrzawa tych wszystkich polemik, wynurzeń, deklaracji i zaprzeczeń, które mnożą się dokoła wizyty Poczdamskiej, zgłuszyła narazie odgłosy nowych fermentów w Portugalji. Wieści o gotujących się tam rozruchach, szerzone głównie przez organy prasy klerykalnej, wydają się przesadzone i bałamutne. Wrzenie objęło jakoby sfery robotnicze, które w niebywale krótkim czasie zdążyły się już „rozczarować" do republikańskiej formy rządu i rzekomo tęsknią za... dawną monarchją. Takby należało wnosić z tonu prasy wstecznej, która rozpisuje się z lubością o kłopotach młodej republiki i przytacza fantastyczne legendy na temat potężniejącej z dnia na dzień akcji żywiołów kontr-rewolucyjnych — monarchistów z obozu ex-króla i legitymistów z pod znaku ks. Miguela Braganzy.

Gdyby te wszystkie pogłoski były zasadne, obraz dzisiejszej Portugalji winienby dać nieco do myślenia skrajnym nieprzejednańcom z lewicy: bo cóż może być potworniejszego, jak owo zgodne, choć *bezcelowe*, współdziałanie żywiołów skrajnie lewicowych z reakcją klerykalną i monarchiczną! Duchy Marksa i Lojoli, wziąwszy się pod ręce, miałyżby zgodne wojenne pląsy zawodzić dokoła zachwianej republiki? Widok tak dziwnych zestawień otworzyłby niezawodnie oczy wielu „sympatykom" haseł skrajnych... Zdaje się jednak, że do tego nie dojdzie. Młoda rzeczpospolita portugalska, wznoszona z wielkim mozołem w kraju wyjałowionym, spustoszonym i zdziczałym pod egidą rządów braganckich i rzymskich—nieraz jeszcze borykać się będzie z z rozprzężeniem, chaosem, ciemnotą i demagogją; jest to niechybny okres *ząbkowania*, przez który przejść musi każdy nowy ustrój, zanim się na dobre utrwali i funkcjonować zacznie normalnie. Dzieje republiki we Francji — gdzie warunki były podobne — świadczą, że niekiedy trzykrotnych trzeba wysiłków, by nareszcie oprzeć się wstecznym nawrotom, które większą wykazują żywotność, niż to się niejednym doktrynerom zdaje, zwłaszcza, gdy zyskują nieświadomego sprzymierzeńca na skrajnym lewym krańcu.

Ogólne doroczne zebranie Polskiego Zjedn. Postępowego.

Dnia 10 b. m. odbyło się doroczne zebranie ogólne członków Polskiego Zjednoczenia Postępowego.

Zebranie zagaił prezes rady, adwokat przysięgły Wacław Łypacewicz.

Na przewodniczącego powołano p. Tomasza Piętowskiego, który na asesorów powołał pp. Centnerszwerową, Majkowskiego i Siecińskiego, a na trzymającego pióro p. Zbierańskiego.

P. Łypacewicz w obszernym przemówieniu przedstawił działalność Towarzystwa w roku sprawozdawczym, za co ogólne zebranie wyraziło mówcy podziękowanie, poczem zatwierdzono rachunki kasowe, wyrażając przytem życzenie, aby Rada Zjednoczenia częściej komunikowała się z członkami przez urządzanie wieczorów dyskusyjnych.

Następnie dokonano wyborów.

Do rady powołani zostali pp.: Balicki, Fryze, Gabszewicz, Hummel, Hawełka, Jabłoński, Kosmalski, Kłobukowski, Kalicki, Lemański, Lednicki, Łypacewicz, Mayzner, Malinowski, Pawlikowski, Swiętochowski, Waydel, Wassercug, Zubowicz i Życki.

Do komisji rewizyjnej pp.: Flatau, Potempski i Majkowski.

Uczęszczanie do kinematografu spowadza zatrucie kinematograficzne. Wyobraźnia ulega zmąceniu, poczyna snuć wątek *sui generis*:

„Jechałem z Matyldą i jej mężem przez okolicę po raz pierwszy widzianą. Pod lasem zdjął broń, zawieszoną na szyi, i nabił. „Trzeba być przygotowanym, tu napadają"... Istotnie w lesie obskoczyło nas dwunastu zbójców. Matylda krzyknęła. Jej mąż chwycił broń do oka i wypalił. Gdy dym się rozwiał, nie było już zbójców, dwunastu świętych w glorjach klęczało na mchu w białych szatach. Rozległ się głos: „Chciałeś walczyć ze złem, lecz zło jest urojeniem: dlatego się mu nie sprzeciw. W głębi każdego człowieka mieszka święty"...

Mąż Matyldy tak był głęboko wstrząśnięty tym objawieniem, że płakał i powtarzał: „Resztę życia chcę spędzić na pokucie", więc odwieźliśmy go do klasztoru. Pociągnąłem za sznur staroświeckiego dzwonka. Wyszedł brat zakonny, któremu wręczyłem męża Matyldy. Potem z nią pojechałem do domu jej męża i przez trzy doby tonąłem w rozkoszach piekielnych. Czwartej doby zapukał ktoś o północy w szybę. Otworzyłem okno. Przede mną stał mąż Matyldy. „Coś uczynił z żoną moją?" — zapytał, trzymając ręce skrzyżowane na piersiach. Stał w brązowym habicie, twarz miał przeraźliwie bladą. Nie mogłem znieść tej bladości. Podniosłem broń i strzeliłem, mierząc w czoło. Stał ze skrzyżowanemi rękoma, z rany na czole chlustała krew. Struga rosła, po chwili buchała już krew z ogromnej dziury jak z konwi, wylewała się jak lawa z krateru, padała rzęsistym, szerokim jak widnokrąg, czerwonym spadem. Utworzyło się krwawe morze, lekko parujące, spokojne. Na środku tego morza stał pałac szklany z odcieniem szafirowym. W tym pałacu, pełnym migotliwego polśniewania, leżałem, chroniąc oczy dłońmi przed blaskiem. Byłem straszliwie zmęczony. Marzył mi się sen głęboki, odpoczynkowy. Za wszelką cenę, za głowę moją, za zbawienie odpoczynku, wytchnienia! Tymczasem zaczęły piać koguty, ogromne

Związki zawodowe, a partje polityczne i tendencje syndykalne.

Rozwój związków zawodowych idzie wszędzie podobną drogą. Początkowo widzimy je w stanie łączności z ruchami społeczno-politycznymi. Pierwiastek czysto robotniczy jest wówczas podporządkowany pierwiastkowi inteligenckiemu. Ambicje tego rodzaju związków, kierowanych przez inteligentów i stanowiących uzupełnienie stronnictw politycznych, bywają niezmiernie wysokie. Pragną one same jedne dokonać zasadniczego i gwałtownego przewrotu społecznego. Chętnie przyjmują do swego grona ludzi z innych klas, lecz tych samych przekonań, natomiast nienawistnie odpychają robotników innych przekonań. Gwałtowne, bezwzględne, nieopatrzne w działaniu — związki tego rodzaju niebawem opalają sobie skrzydła. Następuje refleksja. Żywioły rozwichrzone tracą mir. Czasami refleksja idzie zbyt daleko i zamienia się w apatję, w reakcję. W końcu wytwarza się nowy pogląd na zadania związków zawodowych. Przestaje się w nich widzieć narzędzie całkowitego przewrotu społecznego, wyrabia się przeświadczenie, iż służą one do uregulowania stosunku najemnika do najmującego. O zniesieniu samej instytucji najmujących, t. j. pracodawców myśli się coraz mniej, tym bardziej, że pracodawca, patronat, jak go nazywają we Francji, podlega także ewolucji. Dawniej istniał tylko poszczególny, prywatny pracodawca; niebawem powstaje zbiorowy pracodawca prywatny, towarzystwo akcyjne lub udziałowe, który niekiedy obejmuje cały kraj w postaci trustu, kartelu, biura sprzedażnego i ma tendencję do przelania się poza granice kraju. Wreszcie zjawiają się pracodawcy, zupełnie nowożytni, państwo demokratyczne, gmina wiejska lub miejska, prowincje autonomiczne, kooperatywy spożywcze. Coraz jaśniej występuje myśl, że zastąpienie tego wszystkiego jednym jedynym związkiem zawodowym jest sennem marzeniem, a znów bezwzględne poddanie się tym wszystkim potęgom patronatu wydaje się czemś równoznacznym do dostania się do niewoli. Zaczyna więc chodzić o to, aby związek zawodowy został uznany za organizację równorzędną z patronatem; nie chce być ani wszystkim, ani niczym, żąda tylko równouprawnienia ze stroną przeciwną. Patronat przestaje być absolutnym monarchą w swoim przedsiębiorstwie; rozporządzenia pracodawcy stają sie obowiązującymi dopiero wówczas, gdy je związek zawodowy zaakceptuje. Drogą walk, starć, a także i dobrych przykładów powstaje system, zwany konstytucjonalizmem fabrycznym. Gdy strony nie mogą same dojść do porozumienia, oddają sprawę do decyzji osobom trzecim. Gdziekolwiek się ten system przyjął, odrazu zapuszcza on mocne korzenie. Zysk dla obydwuch stron jest widoczny. Nareszcie znaleziono rozwiązanie zagadnienia. Praca ludzi niezmęczonych, nieskrępowanych jest sto razy lepszą jakościowo i wydajniejszą ilościowo: oto zysk patronatu, a samo niezmęczenie i nieskrępowanie, wyższe płace, krótsze dni robocze, możność decydowania o przepisach, jakie mają daną jednostkę obowiązywać — oto zysk proletarjatu. Rzecz sprowadza się do podziału pracy, patronat organizuje produkcję, wyznacza pracę, proletarjat — ją wykonuje. Organizatorzy i wykonawcy stoją naprzeciwko siebie nie jako panowie i niewolnicy, lecz jako dwie zupełnie równouprawnione strony, z których jedna nic bez zgody drugiej zrobić nie może. Zresztą patronat podlega nie tylko ewolucji, ale i zróżniczkowaniu. Kapitalista, dostarczyciel gotówki chowa się za kulisy, a na pierwszy plan występuje figura zupełnie nowa: przedsiębiorca, który „lansuje“ przedsiębiorstwo, dobiera wyższą administację i często, nie będąc kapitalistą, jest właściwym pracodawcą, kierownikiem przedsiębiorstwa, jego mózgiem i duszą, któremu jedni dostarczają pieniędzy, a drudzy — pracy ręcznej. Tę osobistość miewa często naprzeciwko siebie — związek zawodowy i ten walcząc z nią o równouprawnienie, walczy tem samem ze wszystkimi odmianami patronatu, które za nią stoją.

Z drugiej strony rozwój idei humanitarnych i akcja polityczna demokracji robią swoje. Zjawiają się miljonerzy — humaniści, którzy obok wzorowych urządzeń ściśle technicznych wprowadzają wzorowe urządzenia higjeniczne. Powstają inspekcje fabryczne, regulaminy fabryczne, prawne ograniczenia wieku i czasu pracy, wreszcie ubezpieczenia robotnicze. I oto — związek zawodowy jest zmuszony zająć stanowisko wobec tych czynników. Najzacieklejszy fabrykant — higjenista, najidealniejszy inspektor fabryczny machną w końcu ręką na swoje umiłowania i obowiązki, gdy spostrzegą, że materjał ludzki, nad którym pracują, nie pcha ich naprzód, lecz ściąga w tył, ku rutynie i tradycji. Żaden rząd na świecie nie jest w stanie dopilnować, czy wprowadzono w życie skrócony dzień roboczy, o ile robotnicy sami tego nie pilnują. Wreszcie — przekonano się, że ubezpieczenia robotnicze robione bez pomocy robotników stają się nietyle środkiem podniesienia ogółu roboczego, ile źródłem dochodu dla biurokracji państwowej. Związek zawodowy zostaje więc powołany do nowej roli —

---

jak stogi siana. Wychodziły, stąpając olbrzymiemi rozczapierzonemi łapami i piały, wrzeszczały przeraźliwie. Występowały groźnie, stanowczo, jeden za drugim, darły się zwycięsko, obelżywie, nieznośnie. Natrząsały się swym pianiem z moralności, sztuki, poezji... Było w nich coś arcyszelmowskiego: z nadętą pychą, z cudacznie nastrojonym grzebieniem, z koralami olbrzymiemi jak dynie, nabranemi purpurą, piały te koguty pompatycznie i przeraźliwie, sprawiając mi mękę nieznośną, napastując moją duszę znękaną, spragnioną ukojenia. Nareszcie zaczęły cichnąć, potrząsały łbami, milkły. Zdawało się, że sen sfrunie na moje powieki, lecz niestety, niestety! Jakaś dama zaczęła grać gamy! — Grała z zapamiętałym okrucieństwem. Cały zamieniłem się w bezsilne, płaczące krwawo oko i wpatrzyłem się w tę kobietę. Jej palce spadały na klawiaturę, jak noże gilotyny na głowę skazańców. Grała trzy długie wieczności, wypruwając mi trzewia tępym nożem swego talentu. Wreszcie wstała, wyprężyła się, wzniosła ramiona. Była to kobieta cudownej urody — o wiele piękniejsza od Matyldy (Matyldo, ty mi tego nigdy nie przebaczysz — prawda?) Cichymi krokami podeszła do czarnych drzwi, otworzyła je... Był tam pokój oślepiająco jasny. Na stole stała przezroczysta urna, napełniona po brzegi świeżo wydartemi z piersi ludzkiej sercami. Kobieta wzięła jedno drgające serce w białe palce, ścisnęła je, rozdarła, rzuciła... Potem wzięła drugie... I tak dalej rozdzierała je obojętnie, z apatyczną rozkoszą, ze spokojem pensjonarki, zajadającej wiśnie.

A kiedy rozdarła wszystkie serca — wyszła na balkon, zaczęła patrzeć na księżyc i ziewać. Ziewała tak okropnie, że aniołowie w niebie pytali: „Kto tak ziewa? Cóż to za nieprzyzwoitość ziewać tak na *boskim* świecie? A dobry Bóg uderzył pięścią w stół i rzekł: „Dość tego ziewania... Nie lubie, kiedy *moi* ludzie ziewają“... I zaraz potym księżyc zachwiał się i runął ze zgrzytem żałosnym jak drzwi zardzewiałe. Gwiazdy pękały i gasły. Ziemia zachwiała się i wywinęła kozła...

Zaczął się ogólny koniec świata”.

współpracownika państwa w dziedzinie prawodawstwa robotniczego i ubezpieczeń robotniczych. Do roli tej przygotowywał się od chwili wyzwolenia się z więzów partyjnych. Wcześniej od państwa, myślał o różnych punktach regulaminu fabrycznego i dobijał się o nie. Wcześniej niż ono zakładał różne kasy samopomocy. Państwo wchodząc na tę drogę, znajduje w związku zawodowym wypróbowanego i kompetentnego współpracownika.

Ten ostateczny pogląd na związek zawodowy, jako na reprezentację najemników w sprawach ekonomicznych w stosunku do najmujących i jako na współpracownika państwa w prawodawstwie ochronnym i ubezpieczeniowym, aczkolwiek dziś już bezsprzecznie panujący, jednak ścierać się jeszcze musi z innymi poglądami, jak również często, nawet u tych, którzy się nań zgadzają, istnieją pewne różnice w motywach dla których się zgadzają, co jeszcze wytwarza pewne tarcia.

Słowem cały obraz ewolucji, jaki rozwinęliśmy w czasie, możemy odnaleść i w przestrzeni, gdyż istniejące związki zawodowe, stoją w rozmaitych krajach na różnych stopniach tej ewolucji.

Na rozwój każdej instytucji społecznej wpływają nietylko warunki, ale i idee. Na związki zawodowe pierwotnie wpływały tylko idee ogólnie-społeczne, w miarę ich uniezależniania się, tworzą się tendencje specjalnie syndykalne.

Rozpatrzmy te idee i tendencje tak, jak one dziś się zarysowywują w stosunku do związków zawodowych

Na skrajnej lewicy, jak się zwykle mówi, na pierwszym stopniu rozwoju, jak się mówić powinno — mamy partyjne — anarchistyczne związki zawodowe, których ojczyzną jest Hiszpanja. Dalej, wyzwolony już nieco od anarchizmu, mający wiele cech tendencji syndykalnej, a nie partji politycznej idzie francuski i włoski syndykalizm rewolucyjny. Równolegle do partyjnie-anarchistycznych idą partyjne-socjalistyczne związki zawodowe, najbardziej typowe w Belgji. Później mamy związki zawodowe bezpartyjne, lecz członkowie których osobiście są przeważnie socjalistami-reformistami, takie są francuskie i włoskie związki zawodowe reformistyczne i niemieckie „wolne". Równolegle mamy związki zawodowe ściśle bezpartyjne, w których przeważa ideologja radykalnej demokracji. Takie są związki angielskie, amerykańskie i australskie — te właśnie, które osiągnęły najwyższy stopień rozwoju i które w akcji są rozsądniejsze, a energiczniejsze od wszystkich innych. Dalej idą partyjne-liberalne związki, które spotykamy w Niemczech (Hirsch-Dunkerowskie). Wreszcie — w Belgji, Niemczech i Austrji — mamy wyznaniowe związki zawodowe, przeważnie katolickie, rzadziej protestanckie, które tylko wbrew ich świadomym intencjom trzeba zaliczyć do kategorji związków zawodowych, gdyż w duchu swoich zasad — pragnąc jak największego poniżenia na ziemi — nie mogą one żądać równouprawnienia z patronatem. Na skrajnej prawicy, ale już poza obrębem związków zawodowych mamy organizacje łamistrejków, płatnych przez pracodawców. Typową taką organizacją łamistrejków była angielska federacja „wolnej pracy", dziś już nie istniejąca.

Ruch zawodowy jest zatym inspirowany przez wszystkie ideje socjalne: od bezwzględnego buntu do bezwzględnej pokory.

Niezależnie od tych wpływów zzewnątrz, z chwilą usamodzielnienia się związków zawodowych, na ich tle wytwarzają się tendencje, prostsze, mniej liczne i więcej przystosowane do specjalnego terenu od ogólnych poglądów społeczno-politycznych. W miarę rozwoju związków te tendencje właśnie wysuwają się na pierwszy plan, wyrzucając do innych zrzeszeń inne poglądy. Otóż te tendencje są dwie: syndykalistyczno-rewolucyjna i syndykalistyczno-reformistyczna. Jeżeli chodzi o wpływ poglądów politycznych, to można powiedzieć, że pierwsza jest przefiltrowanym przez praktykę życiową związków zawodowych — anarchizmem, druga — demokracją. Co do socjalizmu, to o ile socjalizm przed-marxowski, zrzeszeniowy ma prawo do uznawania się za ojca duchowego związków, — o tyle sam marxizm tylokrotnie i tak wyraźnie je potępił, iż żadną miarą nie można go uważać za czynnik, sprzyjający rozwojowi związków, raczej za przeszkodę, dziś w większości krajów usuniętą. Natomiast socjalizm zrzeszeniowy, który sam właściwie był tylko uzupełnieniem demokracji politycznej w dziedzinie ekonomicznej, w dzisiejszych swych postaciach socjalizmu reformistycznego i solidaryzmu (które właściwie niczem się nie różnią) — wypuścił w dziedzinę zawodową silną odrośl: syndykalizm reformistyczny. Ta odrośl jest dzisiaj w życiu związków zawodowych czynnikiem dominującym.

(d. n.). *Jerzy Kurnatowski.*

Listy z Galicji.

II.

Ministrowie Polacy w przyszłym gabinecie. Zorganizowanie się demokratów bez przymiotnika. Porażka ludowców. Ogólna sytuacja w państwie i kraju.

Nowy gabinet nie został jeszcze ostatecznie utworzony, jednakże skład jego jest już na ogół wiadomy. Baron Bienerth zaprosił do niego część swoich poprzednich kolegów jak ministra sprawiedliwości, oświaty; pozostałych wybrał bądź to z pośród parlamentarzystów, bądź też z pośród urzędników. Nowy gabinet będzie napół urzędniczym, gdyż sytuacja w parlamencie jest nie pewna i mowy być nie może o trwałej w nim większości rządowej. Minister finansów ustępuje na pewno. Z Polaków wejdą p. Głąbiński, jako minister kolei żelaznych (a nie finansów jak sobie życzono pierwotnie w Kole polskim), oraz p. Zaleski. szef jednej z sekcji ministerjum rolnictwa urzędnik-konserwatysta.

Ani p. Stapiński, ani p. Kędzior, członek wydziału krajowego, bardzo zdolny technik i ludowiec ministrami nie zostaną. Nominacji p. Kędziora sprzeciwiał się energicznie, namiestnik Bobrzyński obecnie pogniewany z ludowcami. Proponował on na ministrów w nowym gabinecie urzędników, dyrektora kolei we Lwowie Rybickiego na ministra kolei i p. Rosnera na ministra dla Galicji. Propozycja ta jednak nie zyskała aprobaty barona Bienertha.

Porozumienie pomiędzy ludowcami a frakcją parlamentarną demokracji narodowej do skutku nie doszło, ludowcy zostali wyprowadzeni w pole przez p. Głąbińskiego, który widocznie porozumiał się z konserwatystami, uzyskał ich poparcie i wstęp do ministerstwa. P. Stapiński i jego przyjaciele polityczni natomiast nic nie uzyskali.

P. Grabski pojechał do Wiednia pilnować P. Głąbińskiego, który, w pogoni za teką ministerjalną, gotów był na prawo i lewo szukać sojuszników. Demokraci bez przymiotnika urządzili zjazd swój w Krakowie i skonsolidowali się w stronnictwo polityczne, zobowiązując się do solidarnego głosowania. Postanowili też domagać się od nowego rządu jasnej deklaracji w sprawie kanałów. Z żądaniem tym wystąpili i w Kole. P. Głąbiński, jednak, a nawet poseł Kozłowski, który się przyczynił do obalenia gabinetów przez atakowanego ministra Bilińskiego, wystąpili przeciwko domaganiu się od nowego gabinetu p. Bienertha stanowczej deklaracji w sprawie kanałów. Podobno prezes ministrów obiecał tylko wspomnieć w obu izbach, iż starać się będzie przeprowadzić ustawę kanałową.

P. Głąbiński prawdopodobnie sam nie starał się zbytnio zostać ministrem finansów, wiedząc na jakie trudności natrafiłby w sprawie dróg wodnych. Wolał więc wziąć tekę dla Galicji mniej ważną, dla siebie jednak bezpieczniejsza.

„Nowa Reforma” słuszną robi uwagę, że nominacja czystego biurokraty Zaleskiego na ministra dla Galicji jest anachronizmem, gdyż minister taki powinien być w jak najściślejszym kontakcie Kołem Polskim. Raczej ministerjum kolei można było oddać urzędnikowi.

P. Zaleski jest z przekonań podolakiem, inspirowanym dawniej we Lwowie przez p Pinińskiego, jedną z najmarniejszych figur w życiu politycznym w Galicji. Do namiestnictwa p. Zaleskiego wzdychali narodowi demokraci, zaprzyjaźnieni z podolakami. Nominacja ta jest więc, pod pewnym względem, tryumfem podolaków i nacjonalistów. W gruncie rzeczy jednak będzie tryumfem rządu, gdyż p. Zaleski jest figurą bierną i karjerowiczem, który pójdzie tam gdzie mu każe iść prezes ministów. Prezesem Koła Polskiego ma zostać ktoś z demokratów bez przymiotnika. Najzdolniejszy z nich, prezydent Leo, nie jest obecnie posłem do parlamentu, prócz tego jest bardzo zajęty sprawami Wielkiego Krakowa, to też w tej chwili nie mógłby zostać prezesem Koła. Tymczasowo więc stanowisko to zająć mają: albo poseł Stwiertnia (obecnie vice prezes Koła), albo poseł Petelenz.

Tak więc, jak dotychczas widać, obalenie dawnego gabinetu, a właściwie mówiąc ministra Bilińskiego, nietylko, że nie przyniosło żadnej korzyści dla kraju, lecz okazało się nawet szkodliwym.

Cokolwiekby mogli przeciwnicy dr. Bilińskiego powiedzieć przeciwko niemu w sprawie kanałów, nieulega wątpliwości że jest to człowiek z potężnymi wpływami w Wiedniu, ostatni Polak, odgrywający obecnie w tej stolicy role pierwszorzędną, będący jednocześnie szafarzem skarbu państwa. Człowiek ten wychodzi z gabinetu; natomiast wchodzi do niego p. Głąbiński, miernota jako polityk bez stosunków, bez powagi, bez silnej woli. Na miejsce Dulęby, umiarkowanego demokraty i parlamentarzysty, wchodzi biurokrata i wschodnio - galicyjski wstecznik Zaleski.

Gdyby teraz przynajmniej ludowcy i demokraci bez przymiotnika porozumieli się i rozpoczęli politykę szczerze demokratyczną, gdyby zrobili pewne ustępstwa Rusinom i uderzyli razem na konserwatystów i narodowo demokratów — wówczas dużo mogłoby się w Galicji zmienić na korzyść.

Niestety tego nie będzie: demokraci bez przymiotnika, w kwestji ruskiej, są takimi szowinistami jak i nacjonaliści; p. Stapiński zaś jest zbyt niestały, zbyt szybko dąży do różnych drobnych koncesji dla ludowców, chciał prowadzić obecnie wytrwałą szeroką politykę opozycyjną. Raczej szukać będzie znowu zbliżenia z tymi, którzy okażą się panami sytuacji. Tak mi się zdaje. Chciałbym się mylić w tym względzie.

Los namiestnika Bobrzyńskiego nie jest jeszcze roztrzygnięty. Być może, że w tej chwili jeszcze nie ustąpi, wątpić jednak należy, czy utrzyma się długo. Zdaje się, że w czasach ostatnich zbliżył się trochę do demokracji narodowej. Zresztą i pozycja nowego gabinetu nie jest bynajmniej pewna. Przy lada okazji może on prędko upaść; Czesi patrzą nań krzywo. Upadek barona Bienertha odświeżyłby atmosferę i utorowałby może drogę do władzy innemu, bardziej utalentowanemu mężowi stanu np. ks. Hohenlohemu, Gautschowi, albo komu innemu. Baron Bienerth jest człowiekiem bez szerokich planów, zwykłym dworakiem, chcącym się przypodobać kołom decydującym.

Wyjście z sytuacji jest o tyle trudne, że wszystkie czynniki w państwie mają powody obawiania się nowych wyborów, które dziś, więcej niż kiedykolwiek, są zagadką. Tymczasem tylko odwołanie się do wyborców mogłoby dać jakąś wskazówkę sferom decydującym.

Ugoda czesko-niemiecka jest nader trudna do przeprowadzenia; bez jej uskutecznienia mowy być nie może o poprawie stosunków w parlamencie i rządzie.

W Galicji zaś walka polsko ruska uniemożliwia szybką i świadomą demokratyzację społeczeństwu, utrudnia wszystkie reformy i faktycznie wychodzi tylko na korzyść żywiołom konserwatywnym, jawnym i tajnym.

Ludwik Kulczycki.

BADANIA NAUKOWE.

Miłość płciowa i rodzicielska w przyrodzie.

(Studjum socjologiczne).

II.

Skoro akty płciowe pociągają za sobą nagłą zatratę, jak w cytowanych przykładach z życia owadów, albo też zatratę i unicestwienie życia osobniczego stopniowe, rozłożone na raty, celem przelania go na potomstwo, to wolno jest spodziewać się, że w aktach płciowych i w tym wszystkim, co się z nimi zespala, dadzą się odszukać znamiona choroby, gdyż śmierć nagła czy powolna kroczy zwykle szlakami choroby.

Jeśli zwrócimy uwagę naszą na człowieka, celem sprawdzenia zrobionego przypuszczenia, to, zdaje się, znajdujemy faktyczne potwierdzenie tego wniosku. Aktom płciowym mężkim towarzyszą symptomaty, mogące być zaliczone do kategorji chorobliwych, gdyż są niepowszednie. Do rzędu tych symptomatów wolno zaliczyć uderzenie krwi do głowy, palpitację serca, przyśpieszony oddech, konwulsyjne i spazmatyczne skurcze mięsni, wysięk cieczy kolloidalnej, bardzo zbliżonej do krwi swym składem chemicznym.

Jeśli uwzględnimy choćby tylko pobieżnie i powierzchownie stronę psychiczną żądzy płciowej, to lista chorobliwych znamion jeszcze się zwiększy. W psychizmie miłosnym spostrzega się przewaga subjektywizmu i wyobraźni, która skazuje owładniętego nim osobnika w pewnej dziedzinie żyć poza obrębem rzeczywistości Spostrzega się również nadwrażliwość ogólną lub ograniczoną do pewnej sfery, usposabiającą do gwałtownych czynów, takich jak pojedynek, mord, samobójstwo.

Proces owulacji u kobiet posiada znamiona choroby, a w okresie perjodu spostrzega się skłonność u kobiet do zapadania na rozmaite choroby. Perjodom towarzyszy utrata krwi, rozstrój nerwowy i inne zaburzenia, powszechnie znane. Akty połogowe niemniej noszą znamiona choroby. Boleści, utrata krwi, są nimi nawet w najłagodniejszym przebiegu rozwiązania.

Z faktu, że akty rozrodcze pociągają za sobą nagłe lub powolne samozatracenie rodziców, można i inne wysnuć przypuszczenie: jeżeli akt rozrodczy prowadzi do zatracania się rodziców, to instynkt samozachowawczy każdego z uczestników tego aktu, uzbraja się przeciw niemu i uzbraja przeciwne płcie przeciw sobie, będące wzajemnie dla siebie niezbędnym warunkiem spełnienia tego, unicestwiającego ich aktu. Spodziewać się więc wypadnie, że tylko nieprzeparta żądza może zniewolić do spełnienia tego aktu i że zbliżenie się płci dla dokonania aktu rozrodczego poprzedzać musi walka. o charakterze jawnie lub skrycie wrogim.

Przypuszczenie co do wrogiego stosunku płci względem siebie znajduje jeszcze skądinąd zasilenie dla siebie. W pierwocinach wyodrębniania się płci, samiec przybiera postać drobną i nikłą, t. zw. „samca-uzupełniającego”, pozostającego względem samicy w stosunku pasorzytniczym, t. j. wyraźnie wrogim. Pasorzytniczą rolę względem samicy spełnia samiec u wąsopławów (*Cirripedia*) u niektórych wrotków (*Hydatina Senta*) u niektórych robaków (np. *Bonelia*) u raczka pasorzytującego na rybach, zwanego (*Chondracanthus gibbosus*.

Czy fakty stwierdzają wyżej wysnute przypuszczenie?

Stwierdzających faktów nie braknie. Wrogi stosunek płci względem siebie daje się często spostrzegać w świecie zwierzęcym. Samce raków pożerają samice, co jest źródłem nie małych kłopotów dla hodowców tych zwierząt. Samica węgorza morskiego (*Conger vulgaris*) jest dwa razy większa od samca i często zagryza go na śmierć. Szczegółowsze wiadomości posiadamy o prostoskrzydłej modliszce (*Mantis religiosa*). O tym owadzie jest wiadomo, że samica pożera samca niekiedy jeszcze podczas spółkowania, a już zawsze po dokonaniu tego aktu. Zdarza się nawet, że samica owada tego odrazu odgryza głowę lękliwie zbliżającemu się do niej samcowi, co nie przeszkadza resztkom jego ciała dokonać aktu zapłodnienia, poczym i ta resztka samca bywa zjadaną przez samicę.

Samice wielu pająkowatych uśmiercają w okrutny sposób samców, będących mniejszymi i słabszymi od nich. Tak zapewniają Hohn i Koch.

Wiadomo, że samce pająków z rodziny *Attidae*, zbliżając się do samicy w widokach zapłodnienia, przybierają postawę obronną, jak wobec oczekiwanej napaści, którą należy odeprzeć. Ta sama ostrożność cechuje skradanie się samczego świerszcza, który często przez samicę jest zjadany. Również niektóre ryby na podobieństwo jakichś rusałek, wabiąc samców, wprowadzają je w takie tonie i gąszcze wodne, gdzie muszą ginąć. Tak zapewniają Pictet i Lacepède.

Z życia w zwierzyńcach znaną bywa rzeczą, że podczas zalotów lwa, lwica wymierza mu swą potężną łapą liczne policzki. Gdy zabiegi lwa osiągną swój cel, wówczas lew w momencie najwyższej rozkoszy zapuszcza kły w kadłub samicy, która wtedy znów wymierza mu ciosy łapą.

Ten sadyzm podczas aktu płciowego prawdopodobnie cechuje wszystkich przedstawicieli kotów. Nikt z zimną krwią badacza nie podglądał tygrysów w okresie parzenia się. Jest to przedsięwzięcie trudne do wykonania. Sądząc wszakże z trzasku gałęzi i z ryków, jakie się wtedy rozlegają, każdy ich akt płciowy, co pięć minut powtarzany, musi poprzedzać nie błahe szamotanie się samicy i samca.

Gdy mowa o charakterze ustosunkowania się płci względem siebie w akcie płciowym, przypominają się wtórne znamiona płciowe pod postacią zalotniczych ozdób, weselnych barw, zapachów, śpiewów, tańców, które miały się rozwinąć w myśl darwinowskiej teorji doboru płciowego i mają na celu erogenicznie wzruszać płeć przeciwną dla pozyskania miłosnej wzajemności. Ten darwinistyczny pogląd w ostatnich czasach poddano rewizji i próbowano sprawdzić za pomocą doświadczeń. Okazało się wówczas, że darwinistyczny pogląd mylnie interpretował działanie ozdób zalotniczych, weselnych barw, zapachów, śpiewów i tańców. Przekonano się np. że samiec kanarków tym gorliwiej śpiewa, gdy samica zostanie usuniętą. Kos samiec śpiewa tylko w samotności, wysoko na wierzchołku drzewa. Ptak *Lothrix lutea* przestaje śpiewać, gdy w sąsiedztwie znajdzie się samica. Tokowania głuszca i rajskiego ptaka (*Paradisea sanguinea*) odbywają się podczas nieobecności samicy. Próbowano przemalowywać samców motyla *Callosamia promethea*, chcąc się przekonać, czy to wpłynie utrudniająco na dojście do skutku aktów płciowych. Okazało się, że zmiana barwy i deseniu u samców w niczym nie utrudniła im dostępu do samiczek. Natomiast, gdy obcinano samcom skrzydła, samiczki przestały ich dopuszczać i dopiero, gdy samiczkom zalepiono oczy asfaldem, znów stały się dostępne dla tak okaleczonych samców.

Te i tym podobne rewizjonistyczne badania upoważniły Günthera do wygłoszenia odmiennego poglądu na wtórne znamiona płciowe i do odmiennego interpretowania działania tych znamion w okresie rodzicielskiego zbliżania się płci.

Pogląd Guenthera dobrze przystaje do wyżej poznanych faktów, dlatego zasługuje na uwagę.

Otóż, podług tego przyrodnika wtórne znamiona płciowe bynajmniej nie odgrywają tej sielankowo-zalotniczej roli, jaką im dotąd przypisywano, lecz przeciwnie, grają rolę wojowniczą i służą z jednej strony do odstraszania współzawodniczących samców z sąsiedztwa, z drugiej strony do nastraszenia samicy i odebrania jej przez to ochoty do opierania się samczej natarczywości. Tym sposobem poprzednio wzmiankowana serja faktów tylko pozornie różni się od tych, które przy powierzchownym spostrzeganiu uchodziły za sielankowe, choć w istocie przedstawiają zapaśniczo-wojenny charakter. Wobec wyżej wskazanej rewelacji Günthera i faktów, przez nas cytowanych, nabiera głębszego znaczenia zeznanie wielu kobiet, że u nich lęk kojarzy się z podnieceniem płciowym.

Jeśli należycie oświetliliśmy i zrozumieliśmy fakty, o jakich mówiliśmy, to oba wzruszenia, lęk i podniecenie płciowe zawsze musiały współistnieć ze sobą u samic; musiały przetrwać całą historję rozwoju jestestw zwierzęcych i na tej drodze udzielić się kobietom. Jeżeli nie u wszystkich kobiet współcześnie te dwa wzruszenia występują nierozdzielnie, to pochodzi to stąd, że kultura wielowiekowa miłość płciową u ludzi odchyliła sporo od zwierzęcego pionu, naokoło którego miłość oscyluje.

Kąsanie, towarzyszące nieraz burzliwym aktom płciowym ludzi i pocałunek, będący przeobrażonym kąsaniem, są ze swej strony słabym, oddalonym oddźwiękiem wrogiego stosunku płci, który illustrowaliśmy przykładami.

Ten wrogi stosunek, jak powiedzieliśmy już, tkwi naszym zdaniem w tym, że obie płcie, o ile ulegają popędowi płciowemu, są wzajemnie źródłem i warunkiem zatracenia dla siebie, co obraża instynkt samozachowawczy każdej z nich. Stary koncept Franciszka Kostrzewskiego wkłada w usta nieokrzesanego parobka o pierwotnych instynktach takie odezwanie się: „Słysz Kaśka, ożenię się z tobą, ale gdybyś mnie nie kochała, tobym cię sprał na gorzkie jabłko”. Nie wiemy, czy Kostrzewski podsłuchał głos życia realnego, czy intuicyjnie wysnuł ten aforyzm ze swej jowialnej wyobraźni. Sądzimy, że mimowolnie czy rozmyślnie wypowiedział głęboką prawdę psychologiczną i wyspowiadał tajniki pierwotnej męzkiej miłości.

Pod jakim względem nakreślony przez nas obraz życia w przyrodzie jest pouczającym dla socjologji i znawstwa życia ludzkiego, to spodziewamy się wyświetlić w innym miejscu.

(c. d. n.). *Alexy Kurcjusz.*

Karol Gide, profesor ekonomji społecznej uniwersytetu paryskiego. **Rozwój instytucji społecznych** w ciągu XIX-go stulecia, z trzeciego francuskiego wydania, z upoważnienia autora przełożyła *Z. Kosiewicz.* Warszawa 1910 str. 474.

Dzieło to, które wychodziło w dodatkach kwartalnych do „Prawdy”, obecnie ukazało się w wydaniu książkowym. Poprzedza je przedmowa autora, spe-

cjalnie do polskiego wydania napisana. Treść tej pracy jest oczywiście znana czytelnikom „Prawdy". Nadmieniamy więc tylko tutaj, że praca prof. Gide'a, nosi w oryginale tytuł „Ekonomji Społecznej", który jednak w polskim tłomaczeniu trzeba było zmienić, gdyż tłomacz polski rozszerzonego wydania „Zasad ekonomji politycznej" prof. Gide'a dał mu zupełnie błędny tytuł „Zasad ekonomji społecznej". Aby nie potęgować nieporozumienia, tłomaczka „Economie Sociale" ochrzciła ją, jako „Rozwój instytucji społecznych", co zresztą odpowiada treści dzieła.

Pominąwszy tę kwestję tytułu, omawiane dzieło jest niezbędnym podręcznikiem dla każdego, kogo sprawy społeczne serjo interesują, a przejrzysty styl autora, dobrze oddany w tłomaczeniu, czyni je nader przystępnym. Prof. Gide posiada w wysokim stopniu tę specyficzną cechę umysłowości francuskiej łączenia głębi myśli z jasnością wykładu.

Dzieło ukazało się pierwotnie, jako sprawozdanie ogólne z wystawy Ekonomji Społecznej na wystawie powszechnej 1910-go r. „Będzie ono użytecznym przewodnikiem dla młodszych krajów, wkraczających dopiero w dziedzinę prac społecznych, pisze prof. Gide: na tych kartach znajdą one zgromadzone to wszystko, co narody starsze kulturą zdołały wytworzyć dla poprawy warunków społecznych szerokich mas". Trzecie wydanie, przetłomaczone właśnie na język polski, jest rozszerzone i uzupełnione cyframi po rok 1905,

Miejmy nadzieję, że jest u nas dużo rozumnych ludzi, odczuwających potrzebę uczenia się od starszych kulturalnie narodów i pragnących poprawy warunków społecznych szerokich mas, i że dzieło prof. Gide'a znajdzie wśród nich licznych czytelników.

u-u

KRYTYKA LITERACKA i ARTYSTYCZNA

Walery Briusow.

Kiedy zagasną gwiazdy głębokiej, niewysłowionej, zadumanej o Jedności *wiedzy*, wtedy na jej miejscu zaczyna świecić sztuczne, blade światełko — *poznanie.*

Jak ognik gazu błotnego, tańczy ono, igra nad topielami i rozświetla nie jednolity szafir przedwieczny, lecz mnogość zmiennych na każdym kroku objawów. Oswietla cuchnący muł i świeży nenufar, oświetla śpiącą na liściu bożą krówkę i gada. Nie płonie przed jednym ołtarzem, lecz miota się jako niespokojny, ruchliwy, obłąkany ognik po całym obszarze przyziemnym.

Od chwili, kiedy gad i boża krówka, cuchnący muł i świeży nenufar zajęły w poznaniu to samo miejsce, od tej chwili poznanie, naukowość wyodrębniła się z innych dziedzin twórczości ducha ludzkiego. Tak zwany „bezstrony badacz" wynosi każde zjawisko poza nawias dobra i złego, piękna i brzydoty. Tymczasem życie ludzkie powinno ustalić hierarchię pomiędzy jadowitym gadem a niewinną bożą krówką, jeżeli nie chce spaść w głąb zatraty i chaosu.

Dopóką ludzkość nie opanowała i nie zniosła walki o byt, każde zjawisko czy to świata intellektualnego w swej potwornej autonomiczności dąży do potwierdzenia i rozszerzenia siebie, do wyłączności. Ponieważ niema jednego wielkiego światła, któreby wszelkie związki międzyzjawiskowe unaoczniało i odrazu stawiało każde zjawisko na właściwym miejscu, więc jak jednostka dąży do rozszerzenia swej własności, tak samo każdy prąd umysłowy, nawet nastrój dąży do poddania sobie i przeniknięcia wszystkich dziedzin życia.

Naukowość, ogarniając życie w swych samowładnych dążeniach, zapomniała o różnowartości zjawisk, zapomniała o nadawaniu im znaczenia z punktu widzenia ich stosunku do ducha i świata. Słowem, pominęła to, co w swej terminologji wstydliwie nazwała *wartościotwórczością*, a co jest istotną funkcją religijną ludzkości. I nie to było złem, że pozostała w granicach objektywnej obojętności, gdyż inaczej przestałaby być sobą. Złem było to, że stała się *światopoglądem*, że chciała rozstrzygać w rzeczach obcych sobie.

Dlatego poeta, który się opiera na naukowej równowartości zjawisk, przestaje być sobą, przestaje być wieszczem i wartościotwórcą.

Takim samym upadkiem dla poety jest uznanie autonomji piękna. Piękno ma samoistne wyzwalające znaczenie. Lecz kiedy staje się piękno? Wszak niema dotąd i nie będzie *kanonu* piękna zewnętrznego, a dzieło sztuki działa nie przez zgodę z określonemi wymogami piękna, lecz przez coś nieuchwytnego, co jest skrystalizowaniem duchowego napięcia, najwyższego krzyku ducha, który staje się ciałem przez spotęgowanie do ostatecznych granic. Forma która nie z takiego krzyku wyrasta i która dąży do samowładztwa lub chociażby autonomiczności, daje zawsze wrażenie blade, chłodne, niepotrzebne. Tylko organiczny związek duchowego napięcia z formą daje rzecz skończoną. Równowartość zjawisk i autonomja formy — oto cechy prawdziwego dekadenta, który w dodatku, zatraciwszy w wielkości roztańczonej swego boga, siebie na ołtarzu stawia. Tak wieszcz — wartościotwórca staje się sybarytą — indywidualistą.

I to jest Walery Briusow.

Najwyższe samopotwierdzenie kunsztu poetyckiego dla kunsztu, w którym życie całe staje się jedynie poszukiwaniem tematu:

Być może, to wszystko jest środkiem
Do rymów i pięknych obrazów,
A więc od zarania dni twoich
Poszukuj skojarzeń wyrazów.

Piękno nie gra samorzutnie, potężnie w Briusowie. Piękna niema w życiu i nie można brać go w każdej chwili, z każdego zdarzenia Trzeba je mozolnie wynaleźć i wydobyć. Brzydka rzeczywistość zostaje podniesiona do stopnia artyzmu, o ile poetę łączy z nią miłość. Lecz świat przemawia tylko do wyobraźni Briusowa. Więc szuka to perwersyjnych, to egzotycznych, to żywiołowych nut, by stworzyć wrażenie piękna. Tak czyni ten, o którym powiedziano: „Przez ciebie płynie zdrój piękna, lecz ty sam nie jesteś pięknością". Więc wymusza Briusow na sobie kontemplacyjność i oderwaną badawczość, czyste piękno formalne i czyste poznanie. Wykręca i wymęcza swe uczucia, by nie narzuciły mu nic takiego, coby w bezpośredniości swej i porywczości zmąciło i wypaczyło świadomy zamiar artystyczny:

Przezwycięż się, wzbudź beznamiętność,
Gdy pęta cię oplot miłosny,
I w strasznej golgoty godzinie
Wielb głośno swój ból bezlitosny.

Wiersze stały się celem samym w sobie. Niech płonie Rzym, byle piękną odę wyśpiewać! Ten neronowy, wierszorobczy kanibalizm, równouprawniający wszelkie tematy i wszelkie sposoby zdobycia tematu, przepisuje poecie specjalne postępowanie, pozwala mu przekraczać normy życiowe:

Ruń w grzechu posępne otchłanie,
Niech miłość cię żadna nie pęta
I niech w imię wiersza i liry
Twe ręce krew splami, krew święta!

Lecz w tym dobrowolnie przyjętym na siebie rymotwórczem męczeństwie Briusow poznaje wielką

tajemnicę twórczości i erotyki, dwóch dziedzin, tak blizko stykających się ze sobą. Poznaje tę chwilę, kiedy ból staje się rozkoszą. W dreszczach tragicznej lubieży ją poznaje i w nagłych uciszeniach, kiedy krwawe sprzeczności świata stają się już tylko — artystycznem przeżyciem. I splatają się w jedno wszystkie uczucia, rozwiązują się w zaspokojeniu intelektualnym lub zmysłowym, bo prawdziwej ekstazy Briusow znać nie może. Samowładna jednostka odwraca dowolnie i kapryśnie przeżycia swoje, zatracając różnicę między niemi. I woła w zapamiętaniu:

Gdzieśmy? Na rozkoszy łożu,
Czy na strasznym tortur kole?

Człowiek, chcąc życiu nadać samoistne znaczenie i uczynić z niego źródło szczęścia, stara się złamać ostrze cierpienia. Ujmując zjawisko pod kątem widzenia artystycznym lub poznawczym, odbarwia je z bolesności, z pierwiastków etyczno - wzruszeniowych. Dla samozachowawczości człowieka tak lepiej. Lecz czy tak wolno?

Na życiu widzialnym opiera się Briusow, na jego cześć śpiewa hymny, niezależnie od tego, czy objawia się ono w człowieku, w bakterji, w tygrysie lub gwoździku. I pozdrawia istnienia w rozkwicie i poczęciu w wierszu „Pozdrowienie":

Pobladły rumieńce zachodu,
Patrz, gwiazdy się jeszcze kołyszą
Jak perły, zwieszone na wstęgach,
W sieć ziemskich wplatając się lśnień.
W rytmicznych, radosnych swych kręgach
Myśl pląsa wśród gwiazd korowodu
I dźwięczy, i rośnie nad ciszą
Północny kłębiący się cień.
Pół świata ubrane w gwiazd wieńce
Przyjmuje żywiołów sakrament
I słucha łamiącej granice
Melodji zrodzonej w tę noc.
Omdlałe drzą ciała kobiece,
Całują ją w oczy młodzieńce
I szarpie ich wicher i zamęt
I rośnie cudowność i moc.
Pozdrawiam was wszystkich, — wy, którzy
Wchłonęliście nocy tej czary,
Rzuciliście w otchłań spojrzenia
I mleczny przebyliście pas.
Wy, coście spełnili puhary!
I wy także, nowe istnienia
Poczęte w płomieniach i burzy!
Wy wszyscy — pozdrawiam dziś was!

Życie, które jest tylko drogą bez celu, tylko rozkosznym fruwaniem i zbieraniem miodu z kwiatów, staje się ruchem dla ruchu. Nie oto chodzi, aby dojść do mety, chodzi o to, aby iść.

Czyż jest kres dla wrażeń?
Czyż cel nam sądzony?
Nazwiemy tego zdrajcą,
Kto powie: oto cel.

Szukając najwyższego rozpędu i natężenia życia, Briusow wielbi wszystkie namiętności, przy których najsilniej pulsuje krew i wyprężają się mięśnie. Opisuje więc miłość kobiet sprzedajnych, stykającą się ze zbrodnią, jaskrawą i obnażoną. Opisuje urok władzy ziemskiej,uosobionej w konkwistadorach i szaleństwo walki, kipiącej w rozbójnikach wielkorosyjskich, Hunnach i Scytach. Tęskni do nich, pragnie brać udział w ich gonitwach i bojach. A jednocześnie z dążeniem do tego, co pierwotne i mocne, łączy się najwyższe wyrafinowanie kultury spółczesnej, zamiłowanie sztuczności godne des Esseintes'a. „Lubię domy, nie skały, — mówi Briusow: — Ach, książki piękniejsze od róż". Marzy najście dzikich hord, które pogrzebią w gruzach cywilizację i marzy schyłek człowieczeństwa, pod szklanym dachem przechowującego resztki powietrza na obumierającej ziemi (dramat „Ziemia"). z niesłychaną erudycją kreśli rozumowo, bez zrozumienia głębszego obrazy satanizmu średniowiecznego (Anioł Płomienny, powieść) i z odważnym wikingiem dąży do bieguna północnego. A ogarnąwszy przeszłość i przyszłość, zwraca się do obecnego Babilonu, do miasta, potworu z żelaza i szkła. Widzi, jak miasto, smok podstępny i wściekły, sam wznosi nad sobą nóż zatruty własnym jego jadem. Widzi, jak nad gwarnym miastem ukazuje się jeździec na koniu ze zwojem papieru w ręku, na którym stoi napisane: *Śmierć*. I w kosmicznych wizjach przewijają się przed nim różne stulecia, ciąg rozwojowy życia. A na tym tle rośnie chwała człowieka, ujarzmiającego żywioły, te wrogie, niszczycielskie moce. Nauka, wynalazki przejmują Briusowa zachwytem. Materja jest dla niego jedyną rzeczą wiadomą. Proch urobiony ludzkimi dłońmi do użytku człowieka jest jedyną siłą, z którą ściera się człowiek — pozytywista i człowiek—samotnik. Ludzi dostrzega Briusow tylko w marzeniu retrospektywnym. Poza tym widzi w życiu tylko siły i masy, uosobiane, otoczone jakimś promieniowaniem demoniczności. „Wielbimy, Prochu, twój Majestat", inwokuje Briusow w zapale czci dla widzialności. Mechaniczność zajęła duże miejsce na świecie. Dawniej w pieśniach poety było wszystko uduchowione i organiczne. Teraz poeta upatruje się w objawy sił fizycznych i w chłodny blask elektryczności, w obroty kół maszynowych i w nich wykrywa jakieś inne życie, żmijowe, straszne, jak skręty transmisji i połyski trybów. Z pośród pierwiastków świata objął namiętność i materję, pęd odśrodkowy i skończoność. Więc nie złączony z wszechświatem, wielbi samotną swą wiedzę i samotne marzenia. Z nimi błąka się po „Drogach i Rozdrożach"[1]) nie znajdując i nie szukając przystani, „wszystkim bogom poświęcając wiersze" i nie mając żadnego boga.

Savitri.

Echa sezonu muzycznego.

(Filharmonja).

Tegoroczne stosunki sezonu koncertowego nasuwają pewne zasadnicze uwagi. Orkiestra symfoniczna w roku zeszłym utrzymywana kosztem hojnej szkatuły księcia Władysława Lubomirskiego w tym roku postanowiła sama na siebie pracować — prowadząc sezon pod własną odpowiedzialnością tak artystyczną jak finansową. O ile próba ta okaże z końcem sezonu rezultaty pomyślne, będzie to najszczęśliwszym rozwiązaniem kwestji orkiestry symfonicznej w Warszawie. Towarzystwo akcyjne Filharmonji, które ciągnie zyski z wynajmu sali orkiestrze na przeciąg całego sezonu zimowego — uporządkowawszy w ciągu paru lat swoje interesa — będzie mogło chyba w myśl celów swego istnienia a bez strat dla siebie subwencjonować nawet — samorządną symfoniczną orkiestrę.

Zostawiając kwestję finansową do czasu ostatnich wyników z końcem sezonu — możemy skonstatować dotychczasowe artystyczne wyniki, które na ogół przedstawiają się bardzo korzystnie. Z dzieł symfonicznych słyszeliśmy: Karłowicza Symfonje, Różyckiego ostatnią nowość: Anhellego — utwory B. Wallek-Walewskiego; — cykl popołudniowych koncertów niedzielnych daje sposobność słuchania mniej zamożnej publiczności koncertów historycznych (M. Sobolewskiej) i cyklu Symfonji Beethowena z pouczającymi a zajmującymi pogadankami A. Gużewskiego.

---

[1]) „Drogi i Rozdroża" — wybór poezji Briusowa, w którym umieścił najlepsze utwory z dawnych serji: „Me cum esse", „Stephanos", „Tertia wigilja", „Urbi et orbi"..

P. Grzegorz Fitelberg wybrany przez orkiestrę na artystycznego kierownika sezonu — wyrabia coraz piękniej swój pierwszorzędny kapelmistrzowski talent, który najświetniej się objawił w wykonaniu dzieł Ryszarda Straussa (Tilleulenspiegel i Zarathustra).

Z solistów europejskich słyszeliśmy w ubiegłym roku Ysaye'a, Pugna (4 koncerty tych wirtuozów były wyprzedane), Marteau, Śliwińskiego, P. Kochańskiego, Artura Rubinsteina, młodziutką a tak utalentowaną Irenę Eneri, skrzypka Gesterkampa i innych.

Byłoby jednak bardzo pożądanem, aby tak zwane koncerty Symfoniczne, które zamieniają się zwykle na popisy sławnych solistów, zrezygnowały z swej „symfonicznej" nazwy — a zato przymiotnik ten stosowany był tylko do t. zw. Abonamentowych koncertów Fitelberga, które tak zajmujące, pełne szczerości symfonicznych, w ubiegłych sezonach dawały nam programy—w ostatnich czasach są trochę jakby zaniedbane.

H. Opieński.

TEATR MAŁY: **Mój przyjaciel Tadzio** (Mon ami Teddy) lekka komedja w 3-ch aktach pp. Rivoire'a i Besnard'a. Przekład L. Pytlińskiej.

„Przyjaciel Teddy", niewiadomo dlaczego nazwany na afiszu „Tadziem", jest to młody, zacny i zadzierżysty Yankee, syn któregoś z miljardowych „królów" zaatlantyckich, rzucony na tło salonów paryskich i zakochany po uszy w uroczej pani Didier-Morel, której względy i rękę zdobywa dość forsownie, z wielkim nakładem sprytu i brawury. W perypetjach tej walki Teddy wyróżnia się nader charakterystycznie od otoczenia, gdzie rej wodzą próżni i ambitni politycy, rozwydrzone panienki, stare intrygantki, które lubią grać rolę Egerji w kołach poselskich, oraz wymuskani młodzi dyplomaci, dla których buduar kobiety światowej jest jedynym polem działania.

Francuska spółka autorska pp. Rivoire'a i Besnarda wprowadza do tego środowiska „przyjaciela Teddy", aby przez usta szczerego Amerykanina wypowiedzieć kilka słów prawdy na temat paryskiego *snobizmu* salonów i klubów politycznych. A że publiczność paryska przepada za takimi pigułkami — co również wypada złożyć na karb specyficznego snobizmu— że nadto nastrój sztuki jest miły i pogodny, akcja toczy się zajmująco, a kończy pomyślnie — przeto odniósł *Mon ami Teddy* w Paryżu sukces rzetelny w jednym z modnych bulwarowych teatrów.

Ten sukces niewątpliwie sekundować mu będzie w Warszawie, jak o tym świadczy wypełniona na premjerze sala teatru Małego i oklaski, których nie szczędzono wykonawcom z p. Kamińską i p. Kuncewiczem na czele. Ten ostatni pojął i wykonał bardzo dobrze rolę młodego nababa, o szerokim geście, mocnej staturze i tonie szczerego przekonania mimo egzotycznej nieco wymowy. Odniósł też tryumf zupełny i niełatwy, bowiem wymowę angielską „przyjaciela Teddy" — źródło wielkiej uciechy dla widzów paryskich — musiał p. Kuncewicz imitować akcentem... czeskim.

P. Kamińska odegrała swą rolę z ujmującym wdziękiem i umiejętnym bardzo cieniowaniem. Jest to bezsprzecznie świeży i obiecujący talent. Pozostali wykonawcy starali się stworzyć zespół udatny, co im się nie zawsze udawało, zwłaszcza, że wystawa teatru Małego, w tego rodzaju sztukach salonowych, razi ubóstwem i zaniedbaniem.

L. G.

NA DOBIE.

Antygoizm wsteczny.

Ziemie polskie stosunkowo nie są największym skupieniem żydów, bo w Nowym Jorku np. liczą ich na przeszło miljon, ale bezsprzecznie tylko tutaj stanowią oni tak odrębną i nawskroś zachowawczą formację, tylko tutaj żywią uroszczenia tak wygórowane i tylko tutaj wysuwają się na pierwszy plan widowni w sposób tak rażący.

Oto lud polski, doszedłszy, po wielu mozołach i mimo wielu przeszkód, do tego stadjum kultury w którym staje się możliwą organizacja gospodarcza na zasadach współdzielczości i samopomocy—natrafia nagle na zacięty opór... Z *ghetta* miast prowincjonalnych wychodzi rabin i z palcem na Talmudzie rzuca *cherem* na kooperację; wobec tego polska myśl postępowa udawadnia niezbicie, że żydzi. jako wyłączny zastęp drobnohandlowych pośredników, są w życiu gospodarczym czynnikiem zachowawczym i wstecznym; tu występuje z kolei grupa „uświadomionych robotników żydowskich" i z palcem na *Manifeście komunistycznym* Engelsa i Marksa rzuca *cherem* na „antysemityzm postępowy"...

Długo na tym koniku harcowano; najwyższy już czas wywlec na widownię i ukazać w ostrym świetle *wsteczny antygoizm* pewnych środowisk żydowskich na prowincji.

Jak wiadomo, nawet gazety żargonowe stwierdziły fakt, że w małych miasteczkach rabini i „działacze" żydowscy, nie pozwalają na wynajmowanie sklepów kooperatywom, wyklinając żydów, którzy to czynią nawet dla znacznego zysku, biorąc o wiele większe komorne od „gojów". Najwidoczniej, te wyznaniowe środki przymusu okazały się bronią zawodną, lub niewystarczającą; podjęto zatym myśl bojkotu świeckiego. I oto *Hazman* w jednym z ostatnich numerów zapytuje:

„Czy możemy wytępić sklepy współdzielcze?„

Tak postawiona kwestja starczy za cały program.

„Na to pytanie — ciągnie gazeta hebrajska — musimy dać odpowiedź przeczącą. Jeżeli jednak nie możemy ich wytępić, to mamy możność osłabienia ich siły. A to w ten sposób, żeby hurtownicy, sprzedający towary sklepom współdzielczym, przestali raz na zawsze udzielać im kredytu".

Wypada nadmienić, że w wielu miejscowościach, dotkniętych „plagą" kooperatyw, hurtownikami są wyłącznie żydzi.

„Gdy żydzi — wywodzi dalej *Hazman* — przestaną im kredytować, a sklepy będą musiały kupować za gotówkę, to nie będą mogły istnieć i jeden za drugim upadnie; jeżeli zaś będą chciały sprowadzać towary ze stron dalszych, to koszta przewozu nie wytrzymają kalkulacji".

Jak widzimy, manewr dobrze został obmyślony, a wyłuszczony jasno; niewątpliwie, młody nasz ruch współdzielczy znalazł by się w poważnym niebezpieczeństwie, gdyby żydzi zechcieli program ten zrealizować; należy jednak przypuszczać, że nie zechcą.

Nie dlatego, by nie mieli do tego ochoty, ani środków; nie zechcą — w *dobrze zrozumianym własnym interesie.*

Wprawdzie *Hazman*, wzywając do bojkotu sklepów kooperacyjnych, mówi z naciskiem, że nie zwraca się z tym do różnych „Natansonów" — t. j. do żydów spolszczonych—lecz do tych żydów, których „sercu bliskie są sprawy narodowe"; sądzimy jednak, że bynajmniej nie leży w interesie żydów podsycanie haseł antysemickich w tym kraju, który i tak najbardziej ze wszystkich krajów wystawiony jest na pokusy żydożercze. Nawet zupełne zniszczenie kooperatyw — co

nie leży w możności żydów, jak to przyznaje sam *Hazman* — nie byłoby dla żydów ekwiwalenten poniesionych na tej „tranzakcji" strat materjalnych i moralnych.

Pisma polskie, cytując wywody *Hazmana*, powstrzymały się od komentarzy, jakby chcąc dowieść, że komentarze są tu zbyteczne.

Prawda, której nikt o żydożerstwo pomawiać nie może, czuje się obecnie w obowiązku ostrzec żydowskich działaczy i prasę typu *Hazmana*, że krzewiony przez nich *antygoizm* wywołać musi w społeczeństwie polskim odpowiednio silny odruch samoobrony, przyczym stopień postępowości lub wyrobienia kulturalnego wpływać może jedynie na rodzaj środków zaradczych — ale niech żydzi nie liczą na jakąkolwiek z naszej strony pobłażliwość i milkliwość wobec zakusów tego rodzaju. Zapytujemy nadto: czemu o nich milczą „uświadomieni robotnicy żydowscy" i inne nader lewicowe zespoły, tak niezmiernie pochopne do wytykania postępowi polskiemu najlżejszych uchyleń i uchybień?

Święty handel.

W r. b. ubiega lat czterdzieści od pamiętnej chwili, kiedy włoscy patrjoci wkroczyli przez wyłom do papieskiego Rzymu i uczynili zeń stolicę niezależnych zjednoczonych Włoch.

Ostatnimi czasy rozeszła się pogłoska, że papież postanowił rok 1911 uznać za rok żałoby dla całego świata katolickiego. Na znak żałoby liczba posłuchań u papieża ma być znacznie zmniejszona, pielgrzymki zaś do Watykanu będą zupełnie odwołane...

Świeżo warszawski *Przegląd Katolicki* wystąpił z nader sensacyjną rewelacją, która stawia w zupełnie innym świetle nastrój żałobny Watykanu. Z właściwą sobie kompetencją ks. J. Gnatowski, kierownik rzeczonego pisma, ujawnia intymne arkana rzymskiej polityki. Oto rewelacje *Przeglądu K.* w dosłownym brzmieniu:

„Stolica św. powzięła i ogłosiła postanowienie, które jest jedyną właściwą odpowiedzią na zuchwałe zniewagi, miotane bezkarnie przeciw papiestwu i katolicyzmowi przez burmistrza Nathana, niemniej jak i przeciw samemu faktowi, że żyd i faktyczny wódz masonerji przewodniczy na Kapitolu municypalności papieskiej stolicy. Postanowieniem tym zostają wstrzymane i zakazane wszelkie pielgrzymki do Rzymu na przeciąg całego następnego roku.

Owóż kto wybrał Nathana? Rada miejska. Kto wybrał tę radę? Ludność rzymska. A z czego przedewszystkim żyje ludność rzymska? Z podróżnych, między którymi większość stanowią pielgrzymi. Zakaz papieski wstrzyma przypływ tej złotonośnej fali, kieszenie oberżystów, przekupniów i faktorów, głosujących na masońskie listy wyborcze, pozostaną przynajmniej w połowie puste i — przy najbliższych wyborach odbije się to na owych listach niewątpliwie".

Jak widać, Kościół, który nie lubi, by podawano w wątpliwość jego boskie pochodzenie, ima się chętnie w walce wyborczej metod „ludzkich, arcyludzkich..." Czy te skomplikowane zabiegi o władzę na Kapitolu odniosą spodziewany skutek — przyszłość pokaże. Teraźniejszość nasuwa wszelako pewne refleksje o dostojności papieskich metod.

Wątpliwą jest rzeczą, by pokrzepiły one serca pobożnych, nadwątlone duchem nowoczesnym i prądami krytycznego modernizmu. Choćby nawet papież wprowadził do rady miejskiej zastęp oddanych sobie rajców — autorytet jego świętości nie urośnie. A nikt zwłaszcza nie uwierzy, by głowa Kościoła był w tym wypadku przez Ducha św. inspirowany. Rzeczony bowiem sposób należy do pospolitych i bardzo poziomych forteli stosowanych nieraz przez koterje wyborcze i różnego rodzaju kliki szalbierzy politycznych.

Nie dziwi nas to bynajmniej, że koterja rzymskich kardynałów zdradza w zapale walki wyborczej swoje przyziemne instynkty zawodowych i wytrawnych mataczów. Kościół katolicki w ostatnich czasach zstępuje wszędzie z urojonych wyżyn na boisko zapasów partyjnych i odsłania wszędzie właściwe swoje oblicze — wielkiej kosmopolitycznej partji z centralą w Rzymie... Ale dziwi nas niezmiernie *Przegląd Katolicki*, gdy zwiastuje tonem radosnym ów niesłychany upadek dostojności papieskiej, która zeszła już do poziomu zabiegów kuracyjno - hotelowych — i nakłada żałobę na świat katolicki poto, ażeby wprowadzić swoich kandydatów do rady miejskiej...

Rzeczą najbardziej znamienną jest to, że redakcja *Przeglądu Katolickiego* bodaj że nie dostrzegła wcale, jak smutne sobie i swemu kościołowi wystawia świadectwo. Gruboskórność tych ludzi idzie w parze z ich nieprawdopodobnym brakiem taktu. Mamy wszelkie powody mniemać, że nasze krytyczne komentarze nietylko społeczeństwu, ale i żywiołom kościelnym nieraz otwierają oczy na rodzaj i rozmiar ich własnych błędów.

Wszystko to jednak napróżno: stosunki, jakie dziś panują w kościele, nie są uleczalne. Zło przeżera nawskroś całą hierarchję, od szczytów do podstaw.

Demoralizacja promienieje z Rzymu na cały świat katolicki wespół z duchem centralnego i absolutnego władztwa. Zły przykład spływa ze szczytu po wszystkich kondygnacjach budowy kościelnej, zaś od nizin idą ku niej na spotkanie miazmaty rozsianego po świecie *macochizmu*.

Świeżym do tego przyczynkiem jest sprawa pielgrzymek na Górnym Śląsku. Jak wiadomo, istnieją i tam miejsca, cudami słynące, uprzywilejowane ośrodki *świętego handlu*. Jeden z wpływowych na Śląsku kapłanów, ks. Rassek, postanowił wykorzystać na swój sposób częściowe zaćmienie Jasnej Góry i w katolickim organie *Schless. Volksztg.* wystąpił przeciw pielgrzymkom ludu polskiego z Górnego Śląska na Jasną Górę. Natomiast zaleca gorąco pobożnym miejsca odpustowe na Śląsku. Świętobliwy handlarz woła głosem impresarja: — Szanowna publiko! Proszę wejść popatrzeć, skosztować! Nasze cuda wcale nie są gorsze od zagranicznych! Wielki wybór, komfort pierwszorzędny, gwarancja na cały rok. Stałym klientom dajemy znaczny rabat!...

Stąd krok tylko do płatnych reklam, pośrednictwa całego sztabu komiwojażerów, rozsyłania cenników *gratis* i *franco* i flaszek z próbkami cudownych płynów... Zresztą, istnieje wszak na Krak. Przedmieściu formalny kantor cudów i pielgrzymek pobożnych.

Święty handel kwitnie, obraca krociowymi sumami i skuteczniej, niż wszelka bezbożna propaganda, podrywa w społeczeństwie fundamenty wiary.

Jeszcze o „dziwnych" i normalnych księżach.

Wślad za katastrofą Jasnogórską, *Prawda*, czyniąc bilans moralny naszego duchowieństwa, doszła do wniosku, że poza nielicznymi jednostkami niema tam ludzi wartościowych; — klerykali bardzo się na to oburzyli. Gdy jednak ujawniliśmy niedawno jeden z takich chlubnych wyjątków w osobie zacnego kapłana ks. Józefa Anusza z Parany — *Dziennik Powszechny* pośpieszył nas upewnić, że ten „dziwny ksiądz" jest jedynym na całą Polskę unikatem. Ta ze strony księżego organu specyficzna potwarz rychło doznała zaprzeczenia, bo oto jesteśmy w możności zapoznać ogół polski z innym „dziwnym księdzem" — niestety, również z tamtej strony oceanu... Jest nim ks. Wiktor Paukszto, naczelny redaktor gazety *Związek*, wychodzącej w Pittsburgu, w Am. Północnej.

Ks. Paukszto naraził się niegdyś klice wpływo-

wych w djecezji księży śmiałą krytyką ich przywar. Gremjum dotkniętych kalchasów zebrało się na naradę i uchwaliło taki wniosek:

„Ks. W. Paukszto, krytykując zgniłe stosunki pośród kleru w tym kraju, pogwałcił dogmat katolicki, bo jesteśmy przecież cząstką dogmatu, osobami nietykalnymi, i dopuścił się zbrodni kanonicznej".

Nastąpiła potem zwykła w podobnych wypadkach kampanja oszczerstw i fałszywych donosów, czem zniecierpliwiona kurja biskupja wyznaczyła sąd kanoniczny, który ks. Wiktora Paukszto od wszelkich zarzutów oczyścił. Wówczas — czytamy w jednym z ostatnich Nr. Nr. gazety *Związek* — pomysłowi kapłani polscy i litewscy postanowili agitacją wzburzyć księdza Paukszto parafjan. Więc, żeby celu zamierzonego dopiąć idą do jego ludu i lud burzą po domach. Życie ks. Paukszto staje się wprost niemożliwym, prześladowanie ze strony księży polskich z każdym dniem wzrasta. Wtenczas ks. W. Paukszto ustępuje z parafji i zakłada tygodnik „Związek".

I tu go nie zostawili w spokoju mściwi intryganci. Użyli oni wszelkich machinacji, denuncjacji, podstępnych agitacji pośród ludu, ażeby zniszczyć „Związek", ks. zaś Paukszto głodem zamorzyć. Z ambon posypały się klątwy na tych, którzy prenumerują i czytają gazetę, wydawaną przez ks. W. Paukszto. Księża biegali po bankach i biznesistach, odmawiając ich, ażeby nie dawali ogłoszeń do gazety *Związek*, w przeciwnym razie grozili im bojkotem.

Ks. Paukszto jednak, pisując pod pseud. ks. Iskierki śmiałe artykuły, — stawił czoło nagance, piętnując w dalszym ciągu niesumienną i chciwą gospodarkę na parafjach amerykańskich temi słowy:

„A teraz co rzeczemy o wyżej wspomnianych Ojcach? Według ich mniemania oni są przeznaczeni do odbierania hołdów, użycia rozkoszy tego świata, uprawiania „Macochizmu", zakładania banków i tysiącznych interesów, interesików etc. Kto im rzeknie prawdę w oczy, biada mu!

„Oni, według ich zdania, mogą na plebanjach swoim nadobnym gosposiom kupować kapelusiki po dol. 150 i to kilkanaście razy do roku; spijać szampany, przegrywać w karty stosy złota parafialnego, banki budować, z bankami lud oszukiwać, wyzyskać, poniewierać go, lecz krytykowi ich czynów wara, śmierć krytykowi!! To jest w ogólnych rysach charakterystyka Ojców naszych w Pittsburskiej dyecezji. (Naturalnie mamy kilka zacnych wyjątków).

I tacy to nicponie ludowi polskiemu mają sakramenta administrować?

Czyż oni potrafią po szlakach przykładu i uczciwości poprowadzić lud ku światłu Prawdy? Przenigdy".

Księdza Wiktora Paukszto, którego my umieszczamy na liście „dziwnych" t. j. wyjątkowych księży, nazwie zapewne prasa klerykalna „złym i przewrotnym". Wcale nas to nie zdziwi, jak nie zadziwił nas czyn poznańskiego „filarety" ks. Kantaka, który znieważył szyderstwem najpiękniejszą kartę dziejów polskich, jak nie zdziwił nas *Dziennik Powszechny*, oświadczając wręcz, że ks. Kantak „jest dobrym księdzem katolickim".

Podobno „dobrym księdzem" był również Damazy Macoch, który mordując swego brata w celi klasztornej, nie zapomniał go na śmierć uprzednio dysponować; zapytany o ten szczegół, pewien dygnitarz kościelny w Warszawie, orzekł poważnie:

— „W tym wypadku postępowanie Macocha było bez zarzutu".

Dobrym był też księdzem o. Izydor Starczewski; na krótko przed wykryciem zbrodni macochowej, przemawiał do pobożnych pątników śląskich na odpuście, we Frydku, gdzie jest również, obraz Matki Boskiej, „słynący cudami"...

Kolega i wspólnik Macocha płonął zapałem świętobliwym, w natchnieniu proroczym grzmiał o świętokradztwie na Jasnej Górze, spełnionym przez bezbożników i socjalistów, poczym wzywał do ofiar „aby naprawić to złe i zmyć hańbę!"

Lud słuchał go w ekstazie, patrzał weń, jak w tęczę — i ciskał srebrniki na tacę...

Czyż to nie wzorowy pasterz?

Tak, niezawodnie, z punktu widzenia *fachowego*. Ale zalety fachowe — to bardzo wązkie kryterjum. Wzorowy, idealnie biegły włamywacz wchodzi wszak w stałą kolizję z etyką i prawem; to samo może się przytrafić i niejednemu księdzu. Klerykaliści zupełnie słusznie ze swej strony cenią jedynie fachowe uzdolnienie księży; ale nas, laików, księża obchodzą przedewszystkiem jako ludzie, jako Polacy i obywatele tego kraju; i oto wychodzi na jaw, że dobrym obywatelem i Polakiem może być, zdaniem klerykalistów — jedynie „zły i przewrotny" ksiądz, zaś *vice versa* — ludzie, odarci z uczuć etycznych i obywatelskich, uchodzą w swojej sferze za sumiennych, nieskazitelnych funkcjonarjuszów Kościoła.

O Kalwinizm.

Rzucone niedawno hasło przechodzenia na kalwinizm w odpowiedzi na skandale jasnogórskie spotkało się z krytyką, pochodzącą nietylko z obozu katolickiego, lecz i z obozu wolnomyślnego. O ile pierwsza jest w zupełnym porządku, o tyle druga jest niesłuszna, a to ze względów zarówno ekonomicznych, jak i dogmatycznych. Najgorliwszy wolnomyśliciel i najgwałtowniejszy ateusz, zapisany w metryce, jako katolik, gdy mieszka na wsi i posiada jakichkolwiek rozmiarów własność ziemską, jest obowiązany w Królestwie Polskim płacić wszelkie składki na reperacje i budowę kościołów, jakie postawi zebranie parafjalne. Listy składek są zatwierdzane przez władzę państwową i — w razie oporu — przez nią egzekwowane. Na poparcie tego twierdzenia mamy bardzo wiele przykładów. Nie jedno wolnomyślne wydawnictwo możnaby utrzymać za te pieniądze, które mniejsi i więksi właściciele ziemscy, wolnomyśliciele, zapisani, jako katolicy, musieli zapłacić — wbrew swym przekonaniom — na budowę kościołów. Natomiast wszelkie składki w kościele kalwińskim są dowolne i pobór tych składek od osób, należących do wyznania nigdy nie bywa zatwierdzanym, a tym mniej egzekwowanym przez władze państwowe. Prócz tego — w kościele kalwińskim — można być zapisanym do wyznania wogóle, ale nie być zapisanym do żadnej określonej parafji. Wówczas nietylko nic się nie płaci na potrzeby wyznania, ale nikt nie przychodzi z prośbą o wnoszenie jakichkolwiek opłat.

Oto wzgląd ekonomiczny. Rzecz mówi sama za siebie i nie wymaga komentarzy.

Pod względem dogmatycznym współczesny kalwinizm, jak zresztą i większość lewicowych sekt protestanckich, opiera się głównie na prawie bezwzględnej swobody osobistej w interpretowaniu Biblji. Jeden, interpretując sobie Biblję, może dojść do wniosków deistycznych, a drugi, nawet, jeżeli na zasadzie takiej interpretacji osobistej, dojdzie do wniosków ateistycznych, to i tak nie może być usunięty z organizacji kościelnej. Ateusz, należący do tego rodzaju wyznania, wcale nie potrzebuje kłamać i fałszować swoich przekonań: najwyżej może się nie zgadzać ze zdaniem tego lub owego pastora, ale to prawo przysługuje każdemu wyznawcy.

Dopóki nie można oddzielić kościoła od państwa albo przynajmniej utworzyć gminy wolnomyślnej, zapisanie się do takiego wyznania, jak kalwinizm, jest jedynym na razie praktycznym punktem wyjścia dla każdego wolnomyśliciela.

Metody p. Lorentowicza.

W *Kurjerze Warszawskim* z d. 8 stycznia r. b. ukazało się oświadczenie, podpisane przez 69 osób ze świata dziennikarskiego, treści następującej:

„Potępiając stanowczo metody sporów dziennikarskich, oparte na napaściach osobistych, a tymbardziej na potwarczych, czy lekkomyślnych insynuacjach i oskarżeniach, oświadczamy, że wydobycie jednostronnej, a, jak się okazuje, już przed 19-tu laty przez poważne grono ludzi kategorycznie odpartej deklaracji dwuch członków zerwanego sądu z życia studentów paryskich, jest niegodnym sposobem walki, przeciwko któremu protestujemy z oburzeniem. Jednocześnie wyrażamy cały swój szacunek p. Janowi Lorentowiczowi, który z godną uznania odwagą podjął, jako wiceprezes Tow. lit. i dziennikarzy, akcję przeciwko takim właśnie niekulturalnym metodom walki".

Zgóry nie kwestjonujemy dobrej wiary ogromnej większości osób, które oświadczenie to podpisały, pomijamy również tę okoliczność, że wielu literatów podpisało „oświadczenie" pod presją, przez grzeczność, lub z obawy narażenia swej egzystencji materjalnej, znajdujemy bowiem wśród podpisanych nazwiska ludzi bezwzględnie uczciwych i niezdolnych do postąpienia, bez względu na skutki, wbrew swemu przekonaniu.

Z pierwszą częścią tego oświadczenia, które „potępia stanowczo metody sporów dziennikarskich, oparte na napaściach osobistych, a tymbardziej na potwarczych czy lekkomyślnych insynuacjach i oskarżeniach" solidaryzujemy się w zupełności i dlatego właśnie wystąpiliśmy przeciw wiceprezesowi Tow. lit. i dziennikarzy, że w publicznym przemówieniu pozwolił sobie na takie właśnie „lekkomyślne oskarżenie" redaktora *Kurjera Porannego.* Do tego, cośmy powiedzieli w ostatnich numerach *Prawdy*, dodajemy tę obciążającą p. Lorentowicza okoliczność, że niezbyt wierzył w to, co mówił, gdyż po przejściu sprawy przez Zarząd a przed ogólnym zebraniem Towarzystwa lit. i dziennik. przyznał wobec jednego z członków Rady P. Z. P., że redaktor *Kurjera Porannego* jest w zupełnym porządku w sprawie funduszu strażackiego.

Co do trzeciej części oświadczenia, musimy zaznaczyć, że bynajmniej, nie podzielamy uznania dla odwagi, z jaką p. L. wystąpił na sławetnym posiedzeniu Tow. lit. i dziennikarzy. Wystąpieniem swoim p. L. nietylko się na nic nie naraził, ale nawet pomimo, że pisuje głównie w *Nowej Gazecie*, mógł uzyskać popularność wsród wydawców i współpracowników *Kur. Warsz.*, *Słowa*, *Dzien. Powsz.* i nawet samej *Gazety Warszawskiej.*

W drugiej części „oświadczenia" uznano jako niegodny sposób walki „wydobycie jednostronnej, a jak się okazuje, już przed 19 laty przez poważne grono ludzi kategorycznie odpartej deklaracji dwuch członków zerwanego sądu z życia studentów paryskich"...

Przedewszystkim autorowie „oświadczenia" popełnili nieścisłość. „Poważne grono" ludzi nie odparło faktów, przytoczonych w deklaracji z d. 19 grudnia 1891 r., gdyż nosi ona datę o trzy dni późniejszą. Ale jest to rzecz drobna. Fakt bowiem, że 19 lat temu p. Lorentowicz został czynnie znieważony przez jakiegoś młodzieńca, i sam w kilka dni potym dopuścił się obelgi czynnej na wuju owego młodzieńca, sześćdziesięcioletnim starcu, wezwanym w charakterze świadka na posiedzenie sądu honorowego; może oczywiście być puszczonym w niepamięć, jako objaw studenckiej krewkości i nierozwagi, ale musimy na usprawiedliwienie p. L. Fryzego, który fakty te wydobył, uznać tę okoliczność łagodzącą, że przytoczył je w obronie własnej, będąc szkalowany i spotwarzany za czyny, których... nie popełnił jego stryj również przed wielu laty.

Wobec tego musimy „oświadczeniu" odmówić wszelkiego znaczenia w sprawie osobistej p. Lorentowicza. Jesteśmy przekonani, że wielu ludzi niezależnych, którzy „oświadczenie" podpisali, nie uczyniłoby tego, gdyby sprawę dobrze znali.

Poza tym zasadnicze metody p. Lorentowicza polegające na używaniu zamiast sądu honorowego, który rzeczowo i źródłowo sprawę może rozpatrzeć, adresów kolegów, przyjaciół, znajomych oraz ludzi moralnie zależnych od osoby, na rzecz której manifestują, godne są potępienia.

Zdanie kilku poważnych a bezstronnych ludzi, którzy sprawę zbadali, jest stokroć cenniejsze, niż setki podpisów takich ludzi, co sprawy nie znają, lub są jednostronnie poinformowani.

Pan Lorentowicz ominął nadarzającą się po wyniku sądu arbitrów przy Tow. Kul. Pol. sposobność naprawienia błędu, do którego był popchnięty przez roznamiętnionych członków towarzystwa, którego był wówczas głową... A szkoda. Un beau geste manqué.

Na zakończenie — dla wiadomości 69 gwarantów, podpisanych pod oświadczeniem dodajemy, że p. Lorentowicz nie pierwszy raz jest winien „lekkomyślnych insynuacji i oskarżeń".

W wyroku sądu honorowego z d. 22 kwietnia 1910 r.. wydanym przez arbitrów: Ignacego Balickiego, Leona Papieskiego, Antoniego Pileckiego, Zenona Przesmyckiego i superarbitra Stanisława Leszczyńskiego czytamy: „że Lorentowicz nie miał prawa bez należytego sprawdzenia i stwierdzenia autentyczności powołać się na fakt w rzeczywistości nie istniejący w tej postaci, w jakiej go przedstawił w swoim artykule i że gdyby fakt ten był prawdziwy, to Lorentowicz nie miał prawa rozszerzać oskarżenia na wszystkich wydawców polskich".

Wyrok ten miał zostać wydany i uprawomocnił się na kilka tygodni przed zebraniem Tow. dzien. i literatów i śmiemy przypuszczać że nawet najwięksi zwolennicy wiceprezesa Tow. dzidnnikarzy i literatów za przedawniony uważać go nie będą.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Prasa polska śledzi z wielką uwagą przebieg rokowań rosyjsko - niemieckich i domniemany ich wpływ na dzisiejsze ugrupowanie mocarstw. Zdaniem *Gazety Warszawskiej* przymierze rosyjsko-francuskie nie ma już realnej wartości:

> Ślepa ufność we wszechpotęgę Rosji zachwiała się we Francji po wojnie rosyjsko-japońskiej. Ruch wolnościowy obudził we Francji napowrót nadzieję, iż odrodzona i zreformowana Rosja stanie się znowu potęgą pierwszorzędną, gdy zwyciężą w niej żywioły, które w polityce wewnętrznej stawiały sobie za cel reformy demokratyczne, w polityce zaś zagranicznej — usunięcie Rosji z pod wpływu Niemiec. Nadzieje te nie ziściły się, a obrót, jaki wzięły rosyjskie stosunki wewnętrzne po stłumieniu ruchu rewolucyjnego, budził coraz mniej zadowolenia w opinji francuskiej tymbardziej, że reakcji wewnętrznej towarzyszyło *ipso facto* ciążenie Rosji ku Niemcom. Z drugiej znów strony, zwycięskim w Rosji sferom nacjonalistyczno-reakcyjnym jaknajmniej podobać się mogły stosunki wewnętrzne Francji, polityka antyklerykalna jej rządu, rozwoj propagandy antymilitarystycznej, wreszcie — rozrost ruchu syndykalistycznego, który mógł być złym przykładem dla ro-

syjskich warstw robotniczych. Słowem, obydwa narody, zaprzyjaźnione i związane „sojuszem", miały powody do wzajemnego niezadowolenia z wzajemnych stosunków wewnętrznych. Stosunki zagraniczne obu mocarstw rozwijały się przez pewien czas, zdawałoby się, pomyślnie. Porozumienie angielsko-rosyjskie leżało niewątpliwie w interesie Francji i radośnie powitane zostało przez opinję francuską. Francja sekundowała Rosji wiernie i wytrwale podczas kryzysu, wywołanego aneksją Bośni i Hercegowiny.

Bezpośrednio jednak po zażegnaniu tego kryzysu zaszły wypadki, które dziś prasie francuskiej każą zadawać pytania, jaką wartość realną posiada trójporozumienie w szczególności zaś — sojusz francusko-rosyjski.

Ze swej strony *Goniec* obwołuje „upadek trójporozumienia", widząc w ostatnim zwrocie polityki rosyjskiej zupełne poniechanie popularnych przed trzema laty zamierzeń.

Przed trzema, nawet przed dwoma laty uważano t. zw. trójporozumienie za związek całkiem realny Tym samym przypisywano mu ogromną rolę. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że połączone siły oraz zasoby Anglji, Francji i Rosji przewyższają znacznie rzeczywistą potęgę trójprzymierza nawet w przypadku lojalnego współudziału Włoch. Atoli zachodzi jedna przeszkoda, która nie pozwala trójporozumieniu odegrać w przesileniach międzynarodowych decydującej roli; przeszkoda na tym polega, że cała ta kombinacja nie była dotąd wcale rzeczywistością, lecz zamiarem, planem, usiłowaniem. Jednak przed paru laty mogło się jeszcze wydawać, iż usiłowanie odniesie realny skutek, że w grupie trójporozumienia dojdzie do ściślejszego połączenia wspólnych interesów, a stąd i do zgodnej polityki zagranicznej. Z wielkim prawdopodobieństwem wolno już dzisiaj twierdzić, iż rzeczy układają się zupełnie w innym kierunku, ze należy raczej oczekiwać rozluźnienia węzłów wśród mocarstw trójporozumienia i upadku nieudanych planów, niż wzmocnienia owych węzłów i skonsolidowania samego związku.

* Zarówno wsteczni, jak i skrajnie lewicowi pisarze stosują do kwestji żydowskiej u nas metody czysto teoretycznych dociekań, wysnuwając z nich bądź nakaz bezwzględnego antysemityzmu, bądź dogmat „kulturalnej" autonomji wyodrębnionego żydostwa. Tymczasem sprawa żydowska należy do zjawisk czysto *faktycznych*, na co kładzie nacisk ostatnia *Kultura Polska*, ukazując motyw *nieświadomości*, jako grający znaczną rolę w zbiorowej fizjognomji masy żydowskiej:

Antisemityzm widzi w judaizowaniu Polski tylko oburzającą bezczelność, podczas gdy jest w nim wiele nieświadomości. Żydzi nie mają ojczystej ziemi, nie mają narodu, języka, literatury, sztuki, więc też nie mają — że tak powiem — odpowiednich zmysłów do odczucia miłości dla tych przedmiotów, do zrozumienia natury organizmu narodowego, zrosłego ze swą ziemią, związanego tradycjami historycznymi, wytwarzającego pewien typ życia, który posiada swoją stałą istotę i niezłomną konsekwencję. Oni tak mówią i piszą, jak mówiłyby i pisały nasiona wędrownych roślin, rozrzucone wichrem po ziemi, kiełkujące wszędzie, gdzie znajdą kawałek żyznej gleby, wyrastające nawet w szczelinie muru, który rozsadzają swymi korzeniami. Co je to obchodzi, że szpecą i niszczą ścianę budowli? One chcą tylko żyć i tylko to pragnienie jest dla nich słusznym prawem.

Oblatuje prasę naszą niedorzeczność z chorągiewką hasła, że „asymilacja żydów zbankrutowała". Tak mogą twierdzić jedynie ci, co sądzą, że jest ona nie procesem społecznym, lecz przedsięwzięciem jednostki lub grupy, która je pewnego dnia rozpoczęła, a spostrzegłszy omyłkę w rachubie, zamknęła. Asymilacja nie zależy od rozmiarów i usiłowań jakiegoś dziennika lub grona propagatorów, ani nawet nie od woli tych, których przetwarza, lecz od siły kultury społeczeństwa i odbywa się drogą przemian powolnych, nieświadomych, bardzo złożonych i niedających się ująć w ścisłą działalność planową. Otóż, jakkolwiek nasza kultura jest słaba a nadewszystko pozbawiona najważniejszych organów przetrawiania żywiołów obcych, asymilacja ciągle postępuje, chociaż nie może podołać nadmiernemu przypływowi żydostwa, wpychanego z zewnątrz do naszego kraju. Doszlibyśmy do tego wniosku łatwiej; gdybyśmy zamiast gniewać się i wymyślać, zamiast targać swoje i cudze brody, starali się zjawiska społeczne badać i tłumaczyć.

* P. Miecznik w *Dzienniku Powszechnym* natrząsa się z uczuć religijnych, niepopartych brzęczącą monetą.

Znam takich „gorliwych" a bardzo, bardzo majętnych katolików, którzy chcieliby światu swą gorliwością katolicką świecić... ale rubla nie sposób z nich wyciągnąć na sprawę katolicką. Ten wąż rezyduje stale w ich kieszeniach i trzyma w gardzieli tego rubla.

Obłudnicy!

Ale niechże ci „gorliwcy" obłudni wiedzą, że wprawdzie Kościół katolicki bez ich poparcia istnieć będzie, bo jest instytucją Boską, ale że może się ta katolickość powoli wykruszyć w Polsce...

Teraz się to trzyma, ale może się przestać trzymać... gdy będzie przybywać, a nie ubywać takich, którzy w ofierze sprawie katolickiej w Polsce tylko pobożne słowo do dania mają...

— *Zawiele kwiatów*! woła Kalchas w operetce na widok ofiar, złożonych na stopniach świątyni.

— *Za wiele słów pobożnych*! powtarza za nim, jak echo, były redaktor klerykalnego *Dziennika*. Ci dwaj augurzy dobrze się rozumieją.

KRONIKA.

BAZYLI KARAUŁOW. Dnia 3 b m. zmarł w Petersburgu poseł do Dumy, kadet, Bazyli Karaułow, urodzony w r. 1854. W uniwersytecie należał do partji „Woli ludu". W r. 1884 został aresztowany wraz z 11 „narodowcami". Na sądzie prokurator żądał na wszystkich oskarżonych kary śmierci. Sąd jednak uznając, że oskarżeni, aczkolwiek usiłowali zmienić ustrój polityczny, do środków gwałtownych się nie uciekali, podsądnych skazał na osiedlenie i katorgę. Karaułow odbywał katorgę w twierdzy Schlisselburskiej, skąd po latach wysłany został na Syberję, jako katorżanin, z ogoloną głową i kajdanami na nogach. Na Syberji umieszczony został w oddalonych miejscowościach gub. Jenisejskiej, a następnie przeniesiony do Krasnojarska. Tutaj w r. 1905 został ułaskawiony, przyczym przywrócono mu wszelkie prawa. Podczas wyborów do wszystkich 3-ch Dum występował jako kandydat partji konstytucyjno-demokratycznej, lecz wybrany został dopiero do 3-ej Dumy.

Mieszkając na osiedleniu, zapoznał się z wygnańcami polskimi, a ta znajomość obudziła w nim głęboką i szczerą sympatję do Polaków. To też ilekroć nadarzyła się sposobność, zawsze występował w obronie praw narodu polskiego.

Organ partji kadetów *Riecz* zamieścił szereg artykułów, poświęconych pamięci zmarłego.

W gorących słowach wspominają działalność zmarłego posła jego towarzysze: Petrunkiewicz, Milukow, Rodiczew, Babiański i Winawer.

„Śmierć Bazylego Karaułowa — pisze Petrunkiewicz — przerwała przepełnione dziwnym tragizmem życie, które opuściło się na dno więzienia katorgi, a potym wzniosło się na wysokość mównicy przedstawicielstwa narodowego po to, aby pozostawić ojczyźnie swej i potomstwu obraz, przedstawiający historję ostatniego pięćdziesięciolecia walki o zmianę ustroju państwowego Rosji".

KS. ANTONI SZANDLEROWSKI. W Grochowie, w Kutnowskim, zmarł proboszcz tamtejszy, ks. Antoni Szandlerowski, pełen talentu poeta i pisarz dramatyczny.

Przed kilku laty wystawił w Łodzi swoją sztukę p. t. „Marja z Magdali", skutkiem której miał zatarg z władzą kościelną. Następny utwór p. t. „Tryumf sztuki" (grany w Łodzi i Warszawie) ks. Szandlerowski wystawił pod pseudoninem Antoniego Ziemca. Sztuka ta, pomimo swej mglistości i niedostatecznego wykształcenia symbolów, zapowiadała szczery, niepospolity talent. Przed dwoma laty wreszcie, pod pseudonimem Władysława Poświata, ks. Szandlerowski ogłosił śmiały utwór dramatyczny p. t. „Paraklet". Były w nim bardzo silne momenty, chociaż całość posiadała konstrukcję mniej pewną, niż „Tryumf sztuki". (O obu ostatnich utworach pisaliśmy w swoim czasie). Ks. Szandlerowski przechodził silny kryzys wewnętrzny: talent twórczy, śmiałość pomysłów, przeszkadzały mu w służbie kościelnej; usiłował naprózno pogodzić jedno z drugim. Obdarzony umysłem niezwykle entuzjastycznym, rozmiłowany w poezji, mógł był ks. Szandlerowski, po zdobyciu pewnej równowagi, tworzyć dzieła trwałej wartości.

Przedwczesny zgon zniweczył te nadzieje. Dowiadujemy się, że ks. Szandlerowski pozostawił szereg manuskryptów, śród ktorych znajdą się napewno rzeczy godne żywszej opieki.

PIERWSZY ZJAZD LEKARZY PROWICJONALNYCH KRÓLESTWA POLSKIEGO odbędzie się w Łodzi, w dniach 4 i 5 czerwca r. 1911-go.

Zjazd został zainicjowany przez Łódzkie Towarzystwo Lekarskie, które w roku przyszłym obchodzi dwudziestopięciolecie swego istnienia.

Naczelnym tematem zjazdu będzie sprawa sposobów podniesienia żywotności tych ognisk naukowych, jakie mamy w postaci szpitali i towarzystw lekarskich prowicjonalnych; od paru lat widzimy tam zamieranie lub nawet zupełny zastój.

BIURO TOWARZYSTWA OPIEKI NAD WYCHODŹCAMI, Warszawa Erywańska 6, podaje do powszechnej wiadomości, że Stany Zjednoczonej Ameryki Północnej czynią coraz większe utrudnienia przy lądowaniu w Nowym Yorku czy w jakimkolwiek innym porcie, że coraz większą ilość emigrantów zwracają co miesiąc do kraju władze amerykańskie, które starają się zmniejszyć wychodźctwo nasze i zniechęcić do przyjeżdżania do tej przez długi szereg lat gościnnej dla nas ziemi. Trzeba być przygotowanym na to, że wkrótce nasza emigracja do Ameryki Północnej może być zupełnie wstrzymana, a i obecnie już różne wymagania władz portowych emigrację ogromnie utrudniają. Wszyscy wiedzieć powinni, że teraz najmniejsze podejrzenie jakiejkolwiek choroby a nawet drobnej, mało znaczącej ułomności fizycznej, zupełnie wystarcza do tego, aby emigranta z powrotem do kraju zwrócić, narażając go na ciężkie straty materjalne. To też do Ameryki mogą obecnie jechać ci tylko, którzy są zupełnie zdrowi i nie mają żadnych bodajby najmniejszych wad, jeżeli oprócz pieniędzy na drogę aż na samo miejsce przeznaczenia posiadają jeszcze przy sobie co najmniej 50 rb. do okazania w porcie przy wysiadaniu. Kto pięćdziesięciu rubli nie posiada, ten bywa bezwarunkowo zwracany. Nadto dobrze jest mieć dokładny adres krewnego lub znajomego, do którego zamierza się jechać, ponieważ przynajmniej połowa tych, co żadnego adresu nie mają, naraża się też na odesłanie z powrotem.

Emigrującym do Brazylji należy się także pewne ważne ostrzeżenie, ponieważ częstokroć padają ofjarą nieświadomości i oszustwa tajnych agentów. Wszyscy polscy wychodźcy powinni jechać tylko do Parany i nigdzie więcej, ponieważ ze wszystkich prowincji Brazylji ten stan jest dla Polaków pod każdym względem najlepszy, tymczasem zdarza się często, że rozmaici agenci, szczególniej niemieccy, którym idzie tylko o zarobek, namawiają do innych stanów gorących, wilgotnych i niezdrowych, gdzie każą wychodźcom pracować na plantacjach kawy, zamieniając ich po prostu w białych niewolników.

Najlepiej jechać przez Kraków, bo z Krakowa droga kosztuje tylko rb. 19 na głowę za kolej i utrzymanie w Trjeście podczas czekania na okręt, chociażby wypadło czekać i długo. Tymczasem rząd Brazylijski przewozi za darmo do Parany emigrantów z Królestwa do dnia 16 marca 1911 roku, na podstawie umowy zawartej z kompanją trjesteńską. Przy sposobności pamiętać należy, iż prawo do bezpłatnego przejazdu jako też do otrzymania ziemi rządowej na 5-cioletnią spłatę, albo kolejowej mają tylko rolnicy żonaci i tacy rzemieślnicy, którzy ze wsi pochodząc i robotę gospodarską znając, na wsi przydać się mogą jako to kowale, cieśle, stelmachy, i t. d.

Towarzystwo Opieki nad Wychodźcami udziela wszelkich informacji i wszelkiej pomocy tym, którzy zwrócą się osobiście albo listownie, dołączając 7 kop. na odpowiedź. To też nikt nie powinien wybierać się w drogę bez zasięgnięcia porady, za którą nie płaci się ani grosza, nikt nie powinien słuchać tajnych agentów, którzy nie mówią prawdy, narażając wychodźców na zawody i straty.

Notatnik wydawniczy.

ŻYCIA, tygodnika politycznego, społecznego i literackiego pod redakcją Gustawa Daniłowskiego wyszedł z pod prasy zeszyt I (ogólnego zbioru XIV) za rok 1911.

Treść: Dr. M. Kukiel. „Na powitanie roku". — Marja Dulębianka: „Już czas". — Marja Markowska: „Orzeł" Dr. Michał Janik: „Około teatru lwowskiego". — Stanisław Baczyński: „Andrzej Strug". — Z teatru: „Pear Gynt", i inne nowości. — Z tygodnia. — Sprawozdania.

OFIARY.

Na wpisy dla biednych uczniów szkół prywatnych polskich od następujących pracowników T-wa Nikopol-Mariupolskiego.

L. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Kleinsznek rb. 1, J, Tomaszewski rb. 1, S. Hegner rb. 2, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 3, H. Cywiński rb. 2, S. Pilarski rb. 1, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 2, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, I. Mierzyński kop. 50, S. Szczawiński rb. 1, J. Rajski rb. 1, L. Prokopowicz kop. 50, H. Kolberg rb. 10. Ogółem rb. 60.

Książki nadesłane do Redakcji:

Helena Filochowska-Żmigrodowa. „Nasz Kruk", Łomża, str. 36.

Marion. „Uczciwa Kobieta", nowele, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa 1911, str. 337. Cena rb. 1 k. 50.

Marguerite Buruat-Provius. „Książka dla Ciebie", przekład Kazimierza Woźnickiego, Warszawa 1910. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka, str. 218.

Ster XI—XII wyszedł i zawiera: Poglądy Tołstoja na sprawę kobiecą. P. K. R. Z życia współczesnej niewolnicy, St. Kijewskiego. Nowe odkrycie. Dalsze dzieje reformy wyborczej w Galicji — Marję Dulębiankę. O wychowaniu dziewcząt na międzynar. Kongr. higjen. szkolnej, przez Dr. Budzińską-Tylicką. O wychowaniu seksualnym na m. K. h. szkolu., przez Helenę Kon. Feldblum. Gady życia dram. współ. St. Przybyszewskiego P. M. Korowód poezji Anny Sokołowskiej. Otwarcie Od. Zw. rów. Kob. pol. w Petersburgu. Ferma Gołocha. List do „Steru". Sejm. Związku, kob. w Ameryce. Tydzień praw wyborczych i demonstracji sufrażystek w Londynie. Odpowiedzi Niemek na mowę w Królewcu. Dodatek powieściowy „Kobiety które wezwanie dosłyszały!".

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12–2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.